



ROBERT LOUIS STEVENSON

**Doktor Jekyll i pan
Hyde**


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

ROBERT LOUIS STEVENSON

Doktor Jekyll i pan Hyde

TŁUM. BERTOLD MERWIN

I

Adwokat Utterson był to człowiek o niezbyt uprzejmej twarzy, której nigdy uśmiech nie opromieniał. Był to człowiek zimny, małomówny, nieskory do rozmowy; nie zdradzał nigdy skłonności do przejawiania uczuć. Był chudy, wysoki, oschły, mrukliwy — a jednak z jakiegoś powodu lubiano go... W towarzystwie przyjaciół, przy winie, z oczu jego wyblyskiwało umiłowanie ludzkości, coś, czego nigdy odkryć nie można było w jego słowach, a raczej w jego czynach. Był surowy wobec samego siebie; pił

gin, gdy był sam, by sobie zepsuć smak wina; chociaż był miłośnikiem teatru, od dwudziestu lat nie był na żadnym przedstawieniu. Powszechnie znana była tolerancja, z jaką odnosił się do innych ludzi; dziwił się — a czasem i zazdrościł — namiętności, jaka częstokroć wyładowuje się w postępках ludzkich: gdy kto znalazł się w biedzie, był gotów raczej pomagać niż ganić. — „Grzech Kaina jest również i moim grzechem” — mawiał w takim wypadku. — „Niech moi bracia grzeszą, każdy na swój sposób”. — Stawał się też często ostatnim przyzwoitym znajomym i ostatnim opiekunem ludzi, którzy stoczyli się na dno nędzy i występku. Wobec takich ludzi nie zmieniał nigdy swego sposobu postępowania, póki do niego przychodzili.

Nie było to zaprawdę rzeczą trudną; Utterson bowiem nie miał absolutnie daru strofowania ludzi; przyjaźni jego opierały się właśnie na tej jego bezwzględnej dobroduszości. Jest rzeczą charakterystyczną dla ludzi skromnych, że przyjaciół swych zdobywają przypad-

kowo; tak też było u naszego adwokata. Przyjaciele jego byli albo bliskimi krewnymi, albo też ludźmi, których znał od dawna. Życzliwość jego była jak powój; rosła z biegiem czasu i nie troszczyła się o właściwości tej osoby, którą oplatała.

Tak też wytłumaczyć można więzy przyjaźni łączące Uttersona z Ryszardem Enfieldem, człowiekiem znanym w całym mieście. Wiele osób zastanawiało się, co też obu tych ludzi może łączyć. Kto ich spotykał podczas niedzielnych przechadzek, przekonywał się, że nie mówią do siebie ani słowa, nudzą się zapewne i pojawienie się znajomego witają z widoczną ulgą. Mimo to obaj ci ludzie uważali te wycieczki za wielką przyjemność, uważali je za najrozkoszniejszy epizod całego tygodnia, wyrzekali się wszelkich innych rozrywek, odsuwali wszelkie sprawy zawodowe, by tylko bez przeszkody rozkoszować się swymi spacerami.

Podczas jednego z takich spacerów zdarzyło się, że szli boczną uliczką w jednej z najbardziej ożywionych dzielnic Londynu. Była to

wąska i spokojna uliczka; lecz w zwykły dzień, a nie, jak dzisiaj, niedzielny, była terenem ożywionego handlu detalicznego. Mieszkańcy byli widać zamożnymi ludźmi i dążyli, by stać się jeszcze bogatsi. Wystawy sklepów były wcale¹ zbyt krowne i narzucały się oczom przechodniów. Nawet w niedzielę, kiedy to ruch uliczny zamierał, błyskały w tej brudnej uliczce wystawy sklepowe jak płomień w lesie; pstro wymalowane szyldy, polerowane okna, mosiężne ramy skupiały na sobie uwagę przechodniów.

W pewnym punkcie tej uliczki rząd kamienic był przerywany; była tu brama wjazdowa na podwórze, w którym tkwił ponury blok, niepodobny zupełnie do sąsiednich domów. Wysoki na dwa piętra, miał w parterze tylko jedne drzwi; nie widać było ani jednego okna; nad bramą wjazdową wznosił się ślepy mur o wyblakłej barwie. Domostwo to wszędzie wykazywało ślady zupełnego zaniedbania. Drzwi nie były wcale zaopatrzone w dzwonek; drzewo było porysowane i popękane. Ulicznicy siadali zwy-

¹wcale (daw.) — tu: zupełnie; całkiem, całkiem. [przypis edytorski]

kle na progu i pocierali zapałki o chropawe, zwietrzałe deski bramy; uczniacy scyzorykami wycinali tu różne figury; od niepamiętnych czasów nikt się nie zjawiał, by tych popsujów² odpędzić.

Enfield i adwokat szli drugą stroną uliczki, a gdy znaleźli się naprzeciw bramy tego osobliwego domostwa, podniósł Enfield laskę i wskazał na opuszczony dom.

— Czy zauważył pan te drzwi? — zapytał, a gdy towarzysz jego skinął przytakująco głową, rzekł. — Drzwi te łączą się w mej pamięci z bardzo dziwną historią...

— Co to było? — rzekł Utterson, a głos jego zmienił się nieco.

— Tak, to było w tej uliczce — odparł Enfield. — Szedłem do domu, skądś, późno w noc, około trzeciej po północy, w zimie; droga moja prowadziła przez dzielnicę, w której dosłownie nie było nic widać prócz latarni. Ulica za ulicą, wszyscy ludzie śpią... ulica za ulicą, wszystkie tak oświetlone jak podczas procesji,

²popsuj — psuj, szkodnik, wandal. [przypis edytorski]

a wszystkie puste... Począłem tęsknić za widokiem policjanta... nagle ujrzałem dwie postaci: jedną był mały człowieczek, który podążał szybkim krokiem, a drugą — dziewczynka ośmio- czy dziesięcioletnia, wybiegająca właśnie z jednej z przecznic. Na skrzyżowaniu obie te postaci wpadły na siebie — i teraz stała się rzecz ohydna; człowieczek ten spokojnie zaczął iść dalej, nie troszcząc się wcale o dziewczynkę, która leżała na ziemi i wołała o pomoc. Puściłem się w pogoń za nieludzkim tym człekiem, ująłem go za kołnierz i sprowadziłem na miejsce wypadku, gdzie zgromadziła się już grupa ludzi dokoła krzyczącego dziecka. Ujęty drab zachowywał się zupełnie spokojnie, nie bronił się wcale, rzucił na mnie tylko tak złe spojrzenie, że zadrzałem. Okazało się, że grupa ludzi, która się zbiegła, to właśnie krewni owej dziewczynki; wkrótce pojawił się też sprowadzony lekarz. Ostatecznie dziecku nic poważniejszego się nie stało: przeraziło się tylko. Cała afera mogła być się skończyć, gdyby nie zaszedł dziwny wypadek. Drab od pierwszej chwili bu-

dził we mnie wstręt. Że to samo odczuwali krewni dziewczynki, było rzeczą zupełnie zrozumiałą. Zdumiewające było tylko, że to samo odczuwał lekarz. Ilekroć spoglądał na mego jeńca, bladł; miałem wrażenie, że najchętniej zabiłby go. Ponieważ jednak zabić go nie mogliśmy, staraliśmy się ulżyć sobie, besztając go. Powiedzieliśmy drabowi, że sprawa pachnie skandalem, że nazwisko jego będzie w całym Londynie zniesławione, że jest bydlęciami w ludzkiej postaci. Podczas tych wymyślań musieliśmy równocześnie siłą powstrzymywać zebrane dokoła kobiety, by się nań nie rzuciły. Nigdy nie widziałem takiej wściekłości, jaka się malowała na ich twarzach. W pośrodku stał ów człowiek; wyraz twarzy miał ponury, nawet nieco ironiczny; widziałem jednak, że się boi. „Jeżeli państwo macie zamiar żądać odszkodowania za ten wypadek — powiada — dobrze. *Noblesse oblige*³ — powiada — chcę uniknąć wszelkich dalszych scen; proszę wymienić sumę”. Powiedzieliśmy, by wypłacił 100 funtów

³*noblesse oblige* (fr.) — szlachectwo zobowiązuje. [przypis edytorski]

rodzinie dziewczynki. Z twarzy naszej mógł wyczytać, że mówimy serio, że nie damy się zbyć byle czym — więc zgodził się ostatecznie. Teraz chodziło o to, by wydostać pieniądze. Dokąd, myśli pan, zaprowadził nas? Właśnie do tych tam drzwi... Wyjął klucz z kieszeni, wszedł i po chwili pojawił się z dziewięciu funtami w złocie i z czekiem na dom bankowy Coutts, płaćny na okaziciela i podpisany nazwiskiem, którego nie chciałbym wymienić... Nazwisko to jest bardzo znane i często je spotyka się w druku... Zwróciłem uwagę tego jegomościa, że wydaje mi się to wielce podejrzanę: w normalnych warunkach nie zdarza się przecież, by o czwartej nad ranem ktoś wszedł do samotnego domu i po chwili wyszedł z czekiem na sto funtów podpisanym przez inną, i to powszechnie znaną osobistość... Lecz on zachował się wobec tych moich słów zupełnie spokojnie i rzekł kpiącym tonem: „Niech się pan uspokoi, chętnie zostanę z panem, aż otworzą bank, wtedy sam czek wykupię”. Zgodziliśmy się na to; lekarz, ojciec dziewczynki, ja i ten dziwny człę-

czek spędziliśmy resztę nocy w moim mieszkaniu, a po śniadaniu poszliśmy razem do banku. Osobiście wręczyłem czek, oświadczając, że podejrzewam, iż jest fałszywy. Nie! Czek był prawdziwy...

— Co? Prawdziwy? — przerwał Utterson.

— Tak jest — mówił dalej Enfield — dziwna historia! Człeczek ten robił wrażenie wyrzutka społeczeństwa, a osobistość, która czek wystawiła, była najprzyzwoitsza, jaką sobie tylko wyobrazić można, powszechnie znana i szanowana... Przypuszczam, że wchodzi tu w grę wymuszenie jakiegoś; zacny obywatel, który płaci za jakąś przygodę młodzieńczą... A jednak i to nie wyjaśnia mi wszystkiego... — zakończył Enfield i popadł w zamyślenie.

Lecz Utterson przerwał je po jakimś czasie pytaniem:

— A czy ten, który czek wystawił, mieszka w tym domu bez okien?

— Nie — odparł Enfield — przypadkowo dowiedziałem się o jego adresie, mieszka tu

w okolicy, w domu znajdującym się przy jednym z wielkich placów.

— A nie pytał się pan później o ten ponury dom bez okien?

— Nie, nie zwykłem tego robić — odparł Enfield — nie lubię się rozpytywać i śledzić. Stawia się pytanie i ma się wrażenie, jakby się rzuciło kamień; siedzi się spokojnie na pagórku, kamień stacza się, porywa inne za sobą i trafia wreszcie jakiegoś niewinnego człowieka, o którym wcale nie myślano i któremu zamąca się spokój... Nie, dla mnie jest regułą, by wcale nie zbliżać się do zawiłych afer...

— Bardzo dobra reguła, dalipan — rzekł adwokat.

— Ale zbadałem miejsce, ot tak, dla własnego użytku — mówił dalej Enfield — nie robi to wrażenia zwykłego domu. Są tylko jedne drzwi wejściowe — i czasem tylko, i to bardzo rzadko, wchodzi i wychodzi nimi mój człowieczek z nocnej przygody. Od strony podwórza są trzy okna na pierwszym piętrze; na parterze nie ma żadnego. Okna są stale zamknię-

te. Z komina unosi się przeważnie dym, zatem dom jest przecież zamieszkały...

Obaj przyjaciele spacerowali czas jakiś w milczeniu, po czym Utterson odezwał się:

— Jedno chciałbym wiedzieć: nazwisko człowieka, który przewrócił dziecko.

— Dobrze — rzekł Enfield — dlaczegożby nie? Był to człowiek nazwiskiem Hyde.

— Hm... — rzekł Utterson — jak on wygląda?

— Niełatwo go opisać. W jego postaci tkwi coś niechlujnego, nieprzyjemnego. Nigdy nie spotkałem człowieka, który by mi był tak niesympatyczny, a nie zdaję sobie przy tym sprawy, dlaczego... Prawdopodobnie ciało jego jest pokraczne; widać wyraźnie, że nie jest to człowiek normalnie zbudowany, ale na czym ta anomalia polega, nie mogłem sobie uświadomić. Wygląda jakoś „inaczej”, a przecież nie mógłbym wymienić nic niezwykłego. Nie, nie mogę go opisać. A jednak, proszę mi wierzyć, widzę go w tej chwili dokładnie...

Utterson szedł w milczeniu; widocznie był pogrążony w głębokich rozmyślaniach.

— Ale pan na pewno wie, że miał klucz?
— dowiadywał się wreszcie.

— Ależ, proszę pana... — przerwał Enfield wielce zdziwiony.

— Tak — rzekł Utterson — wiem, że to się panu wydaje dziwne. O nazwisko tej drugiej osoby tylko dlatego nie pytam, ponieważ je już znam. Widzi pan, mój Ryszardzie, pańska historia dostała się pod właściwy adres. Proszę pana: jeśli pan jakiegoś szczegółu nie podał całkiem ściśle, niech pan, proszę, od razu sprostuje.

— Ależ — odparł Enfield z pewną cierpkością — byłem zupełnie ścisły, by użyć pańskiego wyrażenia. Drab miał klucz; ma go wciąż jeszcze. Niedawno temu, nie ma jeszcze tygodnia, a widziałem, że otwierał...

Utterson westchnął głęboko, nie rzekł jednak ani słowa. Natomiast Enfield rozpoczął:

— To była znowu dla mnie dobra nauka: nie gadać! Wstydzę się, że jestem takim ga-

dułą. Proponuję panu, abyśmy nigdy więcej tej sprawy nie poruszali, dobrze?

— Z całego serca — rzekł adwokat. — Daję panu słowo, Ryszardzie.

II

Tego wieczora przybył Utterson w ponurym nastroju do swego kawalerskiego mieszkania i bez apetytu zasiadł do jedzenia. Zwykle w niedzielę po kolacji siadał blisko kominka, brał książkę do ręki i rozkoszował się lekturą, aż dzwon na pobliskim kościele wydzwaniał dwunastą godzinę; o tej porze kładł się spokojny i zadowolony do łóżka.

Lecz tego wieczoru bezpośrednio po jedzeniu wziął świecę i poszedł do swego biura. Tu otworzył kasę i wyjął ze skrytki kopertę, na której widniał napis: „Testament dr. Jekylla”; usiadł przy biurku i począł treść aktu studiować. Był to własnoręczny testament; Utterson miał go przechowywać, ale nie znał jego tre-

ści; nie brał wcale udziału w spisywaniu tego testamentu.

Zawierał on dwa postanowienia.

Po pierwsze: na wypadek zgonu Henryka Jekylla, dr. med.⁴, dr. jur. utr.⁵, członka król. towarzystwa itd., miało całe jego mienie przejść w posiadanie „przyjaciela i dobrodzieja Edwarda Hyde”; po wtóre: na wypadek, gdyby dr Jekyll „znikł lub w niewyjaśniony sposób był nieobecny przez czas dłuższy niż trzy miesiące kalendarzowe”, miał wymieniony Edward Hyde zostać spadkobiercą Henryka Jekylla — i to bezzwłocznie, bez żadnych innych zobowiązań prócz wypłaty niewielkich legatów służbie.

Dokument ten wielce się nie podobał Uttersonowi i jako adwokatowi, i jako człowiekowi; lubił on wszystko, co rozsądne i przeciętne; rzeczy fantastyczne i niestosowne uważał za jedno i to samo. Dotychczas nieznaną mu nieznajomość tego pana Hyde budziła jego niechęć; teraz dowiedział się o nim tyle...

⁴*dr. med.* — doktora medycyny. [przypis edytorski]

⁵*dr. jur. utr.* — doktora praw obojga (skrót od łac.: *doctor juris utriusque*), tj. prawa świeckiego i prawa kanonicznego. [przypis edytorski]

— Myślałem — szepnął, wkładając z powrotem dokument do kasy — że to wariactwo, teraz poczynam się obawiać, że to coś hańbiącego...

Zgasił świecę, włożył płaszcz i ruszył w kierunku Cavendish Square, gdzie przyjaciel jego, doktor Lanyon, miał dom i gdzie przyjmował swych licznych pacjentów. „Jeśli ktoś wie coś, to chyba Lanyon” — pomyślał Utterson.

Służący domu znał go dobrze, toteż nie kazał mu długo czekać, lecz od razu wprowadził go do jadalni, w której doktor Lanyon sam siedział przy winie. Był to człowiek miły, zdrowy, o rumianych policzkach i bujnych puklach włosów, które przedwcześnie posiwiały. Gdy ujrzał Uttersona, podskoczył z krzesła i powitał go serdecznie obiema rękami. Serdeczność ta, jak w ogóle całe jego zachowanie się, miała pozór nieco teatralny, lecz mimo to pochodziła z szczeroci uczucia. Obaj byli bowiem starymi przyjaciółmi, kolegami z ławy szkolnej, obaj byli pełni szacunku dla siebie i — co nie za-

wsze się zdarza — zgadzali się ze sobą, ilekroć się spotykali.

Po krótkiej rozmowie na obojętne tematy poruszył Utterson sprawę zaprzatającą w tak nieprzyjemny sposób jego umysł.

— Mam wrażenie, mój drogi Lanyonie — rzekł — że my dwaj jesteśmy najstarszymi z przyjaciół, jakich ma Henryk Jekyll.

— Wolałbym, by ci przyjaciele byli mniej starzy — żartował doktor Lanyon. — Ale i ja mam to samo wrażenie. Ale o co ci idzie? Słyszę teraz bardzo mało o Jekyllu.

— Tak? — rzekł Utterson. — Myślałem, że łączy was jakiś wspólny interes.

— To było niegdyś — brzmiała odpowiedź. — Lecz już od przeszło dziesięciu lat Henryk Jekyll stał się dla mnie zbyt ekscentryczny. Idee jego coraz bardziej ulegały wypaczeniu. Oczywiście, wciąż jeszcze interesuję się nim, by się tak wyrazić: ze starej miłości, ale od długiego czasu go nie widziałem. Takie nienaukowe głęczenia oddaliłyby od siebie nawet największych przyjaciół...

Twarz doktora nagle pokryła się silnym rumieńcem. Z pewną ulgą pomyślał Utterson: „A więc rozdwoiły ich tylko jakieś dyferencje⁶ naukowe...”.

Nie mówił chwilę, przeczekał, aż się doktor uspokoje, i zapytał wreszcie:

— Czy znasz człowieka, którym Jekyll się opiekuje, niejakiego Hyde?

— Hyde? — powtórzył Lanyon. — Nie, nigdy o takim nie słyszałem...

To była jedyna informacja, którą adwokat otrzymał.

Spędził noc bezsennie. Umysł jego pracował intensywnie. Leżał w wielkim swym łóżku, w ciemności, otoczony pytaniami i widzeniami.

Wybiła godzina szósta na zegarze kościoła znajdującego się w pobliżu jego mieszkania, a Utterson wciąż jeszcze rozpatrywał ten sam problemat. Dotychczas zajmował on tylko jego mózg, obecnie owładnął jego wyobraźnią. Gdy tak leżał i rzucał się na łóżku w ciemności nocy,

⁶dyferencje (daw.) — tu: różnice, różnice poglądów. [przypis edytorski]

opowiadanie Enfielda przeciągało przed jego oczyma jakby pasmo świetlnych obrazów. Widział oświetlone rzęsiście miasto, potem postać człowieka pośpiesznie idącego, potem dziecko biegnące od lekarza do domu, potem jakąś poczwarę rzucającą się na to dziecko i pędzącą naprzód bez zwrócenia uwagi na krzyk dziecięcy... To znów widział pokój w bogatym domu, w którym przyjaciel leżał, śniąc, uśmiechając się we śnie, a potem otwierały się drzwi tego pokoju, ktoś wstrząsał śpiącym — i oto obok niego stała jakaś postać... Biedny Utterson czasem na chwilę zasypiał, lecz niebawem się budził i zdało mu się, że coraz szybciej wiruje dookoła jasno oświetlonych domów, że na każdym skrawku ulicy pada z wrzaskiem obalone dziecko, a jakaś postać pędzi, goni, ucieka... I wciąż ta postać nie ma twarzy, po której by ją można było poznać; również i w swych rozlicznych przemianach postać ta nie ma twarzy, a właściwie ma tylko jedną zamgloną, rozplywającą się... W duszy adwokata rosła nieposkromiona żądza zobaczenia rysów twarzy prawdziwego

pana Hyde... „Gdybym — myślał — raz tylko mógł mu spojrzeć w twarz, cała tajemnica z pewnością wyjaśniłaby się tak, jak to zawsze dzieje się z tajemniczymi rzeczami, jeśli się je dokładnie obejrzy pod lupą...”. Wtedy znalazłby zapewne też wytłumaczenie dziwnego testamentu swego przyjaciela Jekylla. Co najmniej zobaczyłby twarz godną widzenia. Twarz człowieka pozbawionego litości, twarz, na której widok w duszy tak spokojnego i beznamiętnego człowieka jak Enfield powstało trwałe uczucie nienawiści...

Od tego czasu począł Utterson szpiegować drzwi w małej uliczce, drzwi prowadzące do tajemniczego, pozbawionego okien domu.

Rano przed biurem, w południe podczas przerwy obiadowej, wieczorem przy świetle księżyca, w każdej wolnej chwili, w największej samotności i w największym zgiełku ulicznym zastać można było adwokata na posterunku, na przeszpiegach...

Wreszcie cierpliwość jego została nagrodzona. Było to pewnej pięknej, suchej nocy;

powietrze było mroźne, ulice puste, pokryte gołoledzią, latarnie rzucały mgliste światło na mrokami zasnutę miasto. Około godziny dziesiątej, gdy wszystkie sklepy były zamknięte a ulice puste, zapanowała wokół taka cisza, iż krok przechodnia dudnił po bruku i z dala można go było usłyszeć. Utterson stał już czas jakiś na swym posterunku, gdy uwagę jego zwróciły dziwne jakieś kroki. Właściwie niczym nie różniły się od sposobu chodzenia zwykłych przechodniów, samotnie skądś idących nocą ulicami — ale jakieś przeczucie, jakiś instynkt podszeptował mu, że oto zbliża się ktoś, kto odgrywa w trapiącej go aferze wybitną rolę. Wycofał się wtedy do wnęki i obserwował w wielkim napięciu.

Wkrótce dostrzegł adwokat zbliżającego się człowieka. Był bardzo skromnie ubrany, niski; już z odległości budził jakieś nieprzyjemne wrażenie; w całej postaci tkwiło coś niesamowitego. Człowiek ten szedł środkiem ulicy, jakby sobie chciał zaoszczędzić drogi; szedł wprost

w stronę domu bez okien, a doszedłszy doń, wyjął z kieszeni klucz.

Utterson zbliżył się i, dotknąwszy ręką ramienia przechodzącego człowieka, zapytał:

— Pan Hyde, jeśli się nie mylę?

Pan Hyde wstrząsnął się i głęboko odetchnął. Z piersi jego dobył się syczący dźwięk. Lecz przestraszony trwał tylko chwilę. Nie spojrzawszy wprawdzie w oczy adwokata, ale odparł zupełnie spokojnie:

— Tak, to moje nazwisko. Czego sobie pan życzy?

— Zdaje mi się, że pan chce wejść do tego domu — odparł adwokat. — Jestem starym przyjacielem doktora Jekylla. Nazywam się Utterson i mam kancelarię adwokacką przy Gaunt Street. Przypuszczam, że zna pan moje nazwisko. A że tak się zdarzyło, że pana tu spotykam, proszę, aby mnie pan wpuścił do tego domu...

— Nie spotka pan tu doktora Jekylla — odpowiedział Hyde i wsunął klucz do zamku; potem nagle zapytał. — A skąd mnie pan zna?

Uttersson nie odpowiedział na to pytanie. Powiedział natomiast:

— Czy nie chciałby mi pan wyświadczyć pewnej przysługi?

— Z przyjemnością — odrzekł Hyde — o co chodzi?

— Chciałbym zobaczyć twarz pana...

Hyde przez chwilę zwlekał, potem widocznie zdecydował się, bo wyprostował się, twarz jego przybrała hardy wyraz i spojrzał wprost w oczy adwokata.

— Tak, teraz pana poznam — rzekł Uttersson. — Przyda mi się to może kiedyś.

— Dobrze się składa — rzekł Hyde — żeśmy się spotkali; *à propos*, mogę panu dać również mój adres.

I wymienił numer domu w pewnej ulicy w Soho.

— Teraz — zapytał — proszę mi powiedzieć: skąd mnie pan zna?

— Ktoś mi pana opisał — rzekł Uttersson.

— Kto?

— Mamy wspólnych przyjaciół.

— Wspólnych przyjaciół? — rzekł Hyde ochryplym głosem. — Kto to?

— Na przykład, Jekyll...

— Ten panu nigdy o mnie nie mówił! — zawołał gniewnie Hyde. — Nie przypuszczałem, że pan będzie kłamał!

— Uważaj pan — rzekł Utterson — niech pan liczy się ze słowami!

Hyde parsknął śmiechem. Z niezwykłą zręcznością otworzył błyskawicznie drzwi i zniknął we wnętrzu domu.

Adwokat stał przez chwilę, po czym poszedł powoli, przystając co kilka kroków i pocierając ręką czoło; nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Problem, który rozważał podczas chodzenia, należał do tych, które rzadko można rozwiązać. Hyde był blady i skarłowaciały, na twarzy jego widniał nieprzyjemny uśmiech, miał wobec adwokata minę wykazującą to lęk, to bezczelność, mówił głosem ochryplym. Wszystko to przemawiało przeciw niemu, ale nie usprawiedliwiała odrazy i pogardy, którą Utterson odczuwał. „Musi być coś jeszcze innego — my-

ślał, idąc miarowym krokiem — gdybym tylko wiedział, co... Do licha, ten człowiek nie ma w sobie nic ludzkiego! Jakby pół zwierz, osobnik z epoki jaskiniowej... A może to tak promieniuje marność jego duszy i zniekształca powłokę cielesną. Chyba tak. Biedny Henryk Jekyll!”

Utterson skręcił w następną ulicę, minął ją i dostał się na plac otoczony starymi domami, które przeważnie przedstawiały obraz zaniedbania; w domach tych mieszkali przeróżni lokatorzy: litografowie, budowniczy, pokątni adwokaci i agenci obskurnych przedsiębiorstw. Tylko jeden dom, drugi z brzegu, pozostał w ręku posiadacza i nie miał odnajemców; już z zewnątrz widać było, że właściciel jego jest zamożnym i wytwornym człowiekiem. Przed drzwiami tego domu Utterson zatrzymał się i zapukał. Starszy wiekiem służący, w nienaganną przybrany liberię⁷, otworzył bramę.

— Czy pan doktor Jekyll jest w domu, Pawle? — zapytał adwokat.

⁷*liberia* — mundur noszony przez służbę; uniform. [przypis edytorski]

— Zobaczę, panie Utterson — rzekł Paweł i zaprowadził gościa do przestronnej poczekalni, w której, jak w willi wiejskiej, płonął ogień na jasnym, otwartym kominku. Drogocenne szafy dębowe znajdowały się w poczekalni, której podłoga była kamienna, a sufit ozdobnie rzeźbiony.

— Pan doktor raczy poczekać tu przy kominku; a może mam zapalić światło w jadalni?

— Nie, dziękuję, pozostanę tu.

Utterson zbliżył się do kominka i ogrzewał sobie ręce. Izba ta, w której obecnie sam pozostał, była ulubionym kątem jego przyjaciela, doktora Jekylla; Utterson mówił o niej zwykle jako o najprzyjemniejszym kąciku w całym Londynie. Lecz w tej chwili był on w ponurym nastroju. Twarz Hyde'a całą swą ohydą wbiła się w jego pamięć, odczuwał — co mu się zresztą rzadko zdarzało — wstręt do życia, miał wrażenie, że zewsząd suną groźne zmory; widział je w odblaskach ognia na politurowanych szafach i w niespokojnym drganiu cieni padających na kamienną posadzkę. Wstydział się też

ulgi, jaką odczuł, gdy niebawem wrócił Paweł, który zameldował, że doktora Jekylla nie ma w domu.

— Widziałem pana Hyde wchodzącego do budynku, w którym ongiś była trupiarnia — rzekł Utterson — czy to tak ma być, jeśli doktora Jekylla nie ma?

— Zapewne, panie Utterson — odparł służący. — Pan Hyde ma klucz.

— Pański pryncypał⁸ ma widocznie wiele zaufania do tego człowieka...

— Tak jest, to prawda, mój pan ufa mu zupełnie. My wszyscy mamy rozkaz być mu posłuszni.

— Nigdy tu nie zastałem tego pana Hyde...

— To zrozumiałe, on się tu nie stołuje — odparł Paweł. — A zresztą widzimy go bardzo rzadko z tej strony domu, on przychodzi i wychodzi przeważnie przez laboratorium.

— Pięknie. Dobranoc, Pawle.

— Dobranoc, panie Utterson.

⁸*pryncypał* — przełożony. [przypis edytorski]

Adwokat wracał do domu z ciężkim sercem. „Biedny Henryk Jekyll — myślał — przeczucie mówi mi, że zaplątał się w jakąś fatalną awanturę! Ma on za sobą burzliwą młodość, ale to tak dawno, a u Pana Boga nie ma przedawnienia... Tak, to zapewne następstwa starego grzechu, trucizna ukrywanej hańby — a teraz przychodzi kara, po wielu, wielu latach, kiedy zagasło już w pamięci wspomnienie błędu...”.

Tymi myślami przerażony, zagłębił się adwokat we wspomnieniach własnej przeszłości, wnikał we wszystkie zakamarki swych przeżyć i badał skrupulatnie, czy tam nie ma jakiegoś ciemnego punktu... Lecz przeszłość jego była nienaganna; niewielu ludzi mogłoby z takim spokojem odczytać rejestr swego życia, co on... Z tym większym niepokojem myślał o swoim przyjacielu, doktorze Jekyllu. „Ten Hyde — snuł wątek myśli — jest bardzo podejrzanym indywiduum, osobnikiem o tajemniczych jakichś planach... Tak dłużej być nie może... Strach pomyśleć, że takie stworzenie zakraść się może do łóża Henryka. Co za niebezpie-

czeństwo! Jeśli ten Hyde wie o istnieniu testamentu, mógłby nabrać ochoty, by jak najprędzej zostać spadkobiercą. Muszę stanowczo temu przeciwdziałać, muszę coś zasadniczego zrobić! O ile tylko Jekyll zechce...”.

I poczciwy adwokat Utterson ujrzał przed oczyma dziwne klauzule testamentu.

III

W czternaście dni potem zaprosił doktor Jekyll swoich znajomych na jedno z owych przemitych przyjęć, które zwykł był od czasu do czasu urządzać. Zaproszonych było sześciu starych znajomych; były to poważne i wpływowe osobistości, które umiały należycie ocenić kielich dobrego wina.

Utterson zdołał tak pokierować, że pozostał w mieszkaniu przyjaciela, gdy inni już pożegnali się. Nie było w tym nic osobliwego, zdarzało się to często i nie tylko w domu Jekylla. Poważnego adwokata chętnie zatrzymywano, gdy weselsi i rozmowniejsi goście opu-

ścili już progi; po jakiejś biesiadzie chętnie siedzi się jeszcze przez czas jakiś i uspokaja umysł wymownym milczeniem po wesołej pijatyce.

Siedzieli więc obaj przyjaciele przy komin-ku i poznać było można, że doktor Jekyll, rosły, przystojny, pięćdziesięcioletni mężczyzna, którego rysy twarzy wyrażały wiele rozumu i serca — szczerze i głęboko jest przywiązany do swego przyjaciela Uttersona.

— Chciałem już dawno z tobą mówić, Henryku — rozpoczął Utterson. — Wiesz, w sprawie testamentu...

Uważny obserwator mógłby zauważyć, że temat ten był niemiły doktorowi Jekyllowi, który jednak na apostrofę swego przyjaciela zareagował w sposób żartobliwy.

— Biedny Uttersonie — rzekł — wiem, że masz kłopoty z takim klientem jak ja. Jeszcze więcej może kłopotał się mną ten mój były przyjaciel Lanyon, ten zatwardziały pedant, oburzający się na moje naukowe kacerstwa, jak je nazywał. O, wiem dobrze, że to zacny człowiek, nie patrz na mnie tak gniewliwym wzro-

kiem, bardzo to zacny człowiek, chętnie bym się z nim częściej widywał, ale mimo to uważam go za zatwardziałego pedanta, ograniczonego, zawziętego pedanta. Z żadnym człowiekiem nie przeżyłem takiego rozczarowania jak z Lanyonem...

— Wiesz przecież, że ja nigdy nie zgadzałem się... — przerwał Utterson, nie odpowiadając wcale na nowy temat poruszony przez przyjaciela.

— Z moim testamentem? Tak, wiem o tym — rzekł doktor nieco ostrzej — mówiłeś mi.

— Właśnie i dziś chcę ci to powiedzieć — mówił adwokat dalej. — Słyszałem coś niecoś o tym Hyde...

Szeroka, piękna twarz doktora Jekylla zbladła, oczy jego zasnęła ciemna mgła.

— Nie chcę nic więcej o tym słyszeć — rzekł. — Nie będziemy mówić na ten temat.

— To, co dowiedziałem się, brzmi wprost fatalnie...

— Nie zmienia to postaci rzeczy. Nie rozumiesz wcale mojej sytuacji — odparł doktor

— jestem w nieznośnym położeniu, Uttersonie; jest ono bardzo, bardzo dziwne... Jest to jedna z tych historii, które nie stają się lepsze przez mówienie...

— Henryku — rzekł Utterson — znasz mnie: możesz się przede mną zwierzyć. Zrzuć z serca szczerze cały ciężar, mam pewność, że mógłbym ci pomóc.

— Mój drogi Uttersonie, to bardzo pięknie z twojej strony, wprost wzruszająco; brak mi słów, by ci podziękować. Mam pełne do ciebie zaufanie, wierzę ci bardziej niż komukolwiek innemu, ba, więcej niż sobie samemu. Ale doprawdy jest tu coś innego, niż przypuszczasz; nie ma w tym nic zdrożnego i abyś był zupełnie spokojny, mogę ci powiedzieć: każdej chwili mogę się pozbyć pana Hyde. Daję ci na to słowo. Dziękuję ci raz jeszcze za twoje zainteresowanie, ale powiem ci, Uttersonie, dwa słowa, których nie bierz mi za złe: to jest moja sprawa prywatna; bądź łaskaw nie wtrącać się do niej...

Utterson spoglądał przez chwilę w zamyśleniu w ogień płonący na kominku.

— Bezsprzecznie... masz zupełną rację — rzekł wreszcie i wstał.

— Ponieważ jednak poruszyliśmy tę sprawę i to przypuszczalnie po raz ostatni — rzekł Jekyll — chciałbym ci dać jeszcze pewne wyjaśnienie. Interesuję się, rzeczywiście, bardzo owym biednym panem Hyde. Wiem, że go poznałeś, mówił mi o tym; lękam się, że był wcale nieuprzejmy. Ale zważ: ten młody człowiek budzi moje najgłębsze zainteresowanie, a gdyby mnie już nie było, obiecaj mi, proszę, Uttersonie, że okażesz się wobec niego cierpliwy i dopomożesz mu w sprawach spadkowych. Jestem przekonany, że zrobiłbyś to, gdybyś mógł wiedzieć wszystko... Sprawia mi to wielką ulgę, jeśli mi to obiecasz...

— Nie mogę obiecać, że zdołam go polubić — rzekł adwokat.

— Tego nie żądam wcale — zaprotestował Jekyll i położył rękę na jego ramieniu — proszę tylko o sprawiedliwe obchodzenie się z nim,

proszę cię tylko, byś mu pomógł, gdy mnie już nie będzie...

Uttersson nie mógł powstrzymać westchnienia.

— Dobrze — rzekł — obiecuję ci.

IV

Niemal w rok potem, w październiku 18... Londyn został zaalarmowany zbrodnią wyróżniającą się niezwykle okrucieństwem, zbrodnią popełnioną na osobistości o wysokim stanowisku społecznym. Szczegóły były wstrząsające.

Służąca, która znajdowała się sama w pewnym domu położonym niedaleko rzeki, udała się około jedenastej do swej izdebki, by się ułożyć do snu. Zwykle po północy mgły zasnuwają widok; tej nocy jednak panowała idealna pogoda i uliczka, którą widać było z izdebki owej służącej, była jasno oświetlona poświatą księżyca. Widocznie dziewczyna ta była usposobienia wysoce romantycznego, gdyż usiadła na kufrze stojącym obok okna i oddała się marzeniom.

— Nigdy jeszcze — mówiła potem ze łzami, opowiadając o zajściach owej nocy — nigdy jeszcze nie myślałam tak dobrze o ludziach i ludzkości, nigdy nie czułam się tak spokojna i tak pełna poczucia harmonii świata.

Gdy tak siedziała, ujrzała przystojnego, starszego mężczyznę o siwych włosach, idącego ulicą. Naprzeciw niego szedł inny, bardzo niski człowiek, na którego w pierwszej chwili mało zwracała uwagi. Gdy obaj zbliżyli się do siebie, a było to tuż pod oknami domu, w którym znajdowała się owa dziewczyna, starszy pan ukłonił się i przemówił do drugiego przechodnia z widoczną uprzejmością. Treść jego słów nie była snadź wielkiej wagi: sądząc z jego gestów, pytał o drogę; księżyc oświecał twarz jego i dziewczyna obserwowała ją z widoczną przyjemnością — twarz to bowiem była dobroduszną, a zarazem pełną powagi i wzbudzała szacunek. Gdy dziewczyna baczniej przypatrzyła się drugiej osobie, poznała w niej niejakiego pana Hyde, który kiedyś odwiedził państwo, u którego służyła, i od pierwszego wejrzenia był jej wiel-

ce niesympatyczny. Miał on w ręce ciężką laskę. Nie odpowiedział na pytanie starszego pana ani słowem, przysłuchiwał się tylko z nietajoną niecierpliwością. Niespodzianie popadł w nieposkromiony gniew, tupął nogą, wymachiwał laską i zachowywał się jakby niespełna rozumu. Starszy pan cofnął się o krok, zaskoczony tym zachowaniem. Wściekłość Hyde'a wzmagала się coraz bardziej. Obalił siwego pana na ziemię i począł z małpią szybkością kopać go nogami i uderzać laską tak, że niebawem na ziemi leżała pogruchotana, krwawa masa. Przerażona tym widokiem dziewczyna zemdlała.

Była druga w nocy, gdy wróciła jej przytomność; natychmiast uwiadomiła policję. Morderca oczywiście zniknął już dawno, lecz ofiara jego leżała na środku ulicy, pokrwawiona, zniekształcona. Laska, za pomocą której zbrodnia została dokonana, pękła na dwoje podczas okrutnego znęcania się nad leżącym; część jej znajdowała się tuż obok zmarłego, drugą jej połowę zabrał morderca. Przy zamordowanym

znaleziono portfel i złoty zegarek, nie znaleziono natomiast biletów wizytowych i dokumentów prócz zapieczętowanego listu, zaadresowanego do pana Uttersona, który zapewne człowiek ten zamierzał nadać na pocztę, gdyż list był zaopatrzony w znaczek pocztowy.

List ten doręczono adwokatowi wczesnym rankiem, zanim jeszcze wstał; zobaczywszy kopertę i dowiedziawszy się o szczegółach, przybrał bardzo poważną minę.

— Nie powiem ani słowa, zanim nie zobaczę trupa — rzekł. — Sprawa jest bardzo poważna. Proszę poczekać, aż się ubiorę.

Szybko zjadł śniadanie i pojechał do urzędu policyjnego, gdzie tymczasem przywieziono zwłoki. Gdy je zobaczył, rzekł:

— Tak, poznaję, to straszne odkrycie... Są to zwłoki sir Danversa Carew.

— Mój Boże — zawołał urzędnik — czy to możliwe? Ta sprawa wywoła wielkie poruszenie. Czy może nam pan być pomocny w ujęciu złoczyńcy?

I urzędnik policyjny opowiedział szczegółowo, co służąca zeznała, i pokazał połamaną laskę.

Teraz Utterson nie miał żadnych więcej wątpliwości, że sprawcą jest Hyde. Dziwne było jednak, że laska, którą zamordował Danversa Carew, należała do — doktora Jekylla. Sam mu ją przed laty podarował...

— Czy ten Hyde jest niskiego wzrostu? — zapytał.

— Bardzo niski; ma nieprzyjemną, złą twarz, tak go przynajmniej opisuje dziewczyna — rzekł urzędnik policyjny.

Utterson zamyślił się, potem rzekł:

— Jeśli pan ze mną pojedzie, sądzę, że zdołam panu wskazać jego mieszkanie.

Działo się to około dziewiątej przed południem; był to mglisty dzień jesienny. Jak olbrzymia, czekoladowej barwy płachta, zwisał firmament nisko nad miastem; wiatr rozpędzał gęste kłęby mgły. Dorożka przejeżdżała przez ulicę miasta i zbliżała się do nędznego przed-

mieścia Soho, miejsca zamieszkania najuboższych, najnędniejszych ludzi w okolicy.

Gdy dorożka stanęła przed wskazanym domem, mgły poranne nieco się już rozproszyły i widać było brudną uliczkę, szynk, sklepik i wiele obdartusów wylegujących się dookoła bram, i mnóstwo dzieci bawiących się na ulicy, i kobiety dążące do podejrzanych z wyglądu szynkowni, by już od wczesnego ranka zalewać się wódką.

W tym środowisku znajdowało się mieszkanie pana Hyde, protegowanego przez doktora Jekylla, po którym miał odziedziczyć ćwierć miliona szterlingów⁹...

Stara kobieta o bladej jak kość słoniowa twarzy i siwych włosach otworzyła drzwi. Wyraz twarzy miała złośliwy, maskowany jednak obłudą.

— Tak — rzekła — tu mieszka pan Hyde, nie ma go jednak teraz w domu; był późno w nocy, jednak po godzinie pobytu w miesz-

⁹*szterling* — nieoficjalna nazwa funta brytyjskiego, tj. waluty używanej w Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

kaniu wyszedł. Nie ma w tym nic szczególniejszego. Prowadzi on sposób życia wielce nieregularny; bardzo często bawi czas dłuższy poza domem; wczoraj widziałam go po raz pierwszy od niemal dwóch miesięcy...

— Chcielibyśmy zobaczyć jego pokój — rzekł Utterson, a gdy starucha oświadczyła, że to niemożliwe, dodał: — Więc muszę pani oznajmić, kim jest mój towarzysz: inspektor Newcomen z urzędu policyjnego.

Promień radości pojawił się na twarzy staruchy.

— Ach — zawołała — więc tak się rzeczy mają! A co zbroił?

Utterson i inspektor porozumieli się spojrzeniem.

— Nie jest widocznie tu lubiany i popularny — rzekł Newcomen. — A teraz, moja pani, przeprowadzimy tutaj rewizję.

Hyde zajmował w tym domu kilka pokoi urządzonych wytwornie i z wielkim smakiem. Znajdowała się tu piękna oszklona szafa z srebrnymi przedmiotami zbytkownymi. Na ścianach

wisiały piękne obrazy, drogocenne dywany pokrywały podłogi. Utterson przypuszczał, że są to podarunki Henryka Jekylla, który był znawcą sztuki.

Pokoje w chwili obecnej wyglądały tak, iż najwyraźniej niedawno zacierano w nich pośpiesznie niepożądane ślady. Szuflady stołów i biurerek stały otworem, na kominku leżała kupka popiołu; widocznie spalono tam jakieś papiery. Z popiołu tego dobył inspektor Newcomen sztywną okładkę książeczki czekowej niestrawioną przez płomienie. Druga połowa połamanej laski stała za drzwiami.

Oczywiście podejrzenia inspektora na ten widok wzrosły niepomiernie. A gdy w banku stwierdzono, że na koncie mordercy wpisanym jest kilka tysięcy funtów — ustały wszelkie wątpliwości.

— Może pan na mnie polegać — rzekł Newcomen do Uttersona — że teraz go z pewnością zdołam ująć. Widocznie postradał zupełnie głowę; przecież nie byłby zostawił laski i nie spalił książeczki czekowej. Wszak nie

obejdzie się bez gotówki. Wystarczy, byśmy oczekiwali pojawienia się jego w banku i wysłali za nim listy gończe.

Lecz to nie dało na razie rezultatu. Hyde miał bardzo niewielu znajomych; żadnych jego krewnych nie zdołano odnaleźć; nieliczni ludzie, którzy mogli go opisać, nie zgadzali się ze sobą, zeznania ich różniły się wielce. Tylko pod jednym względem byli zgodni: wszyscy odczuwali jakieś niesamowite, nie do opisania zakłócenie wewnętrzne, jakie ścigany morderca wywoływał u tych, którzy go kiedykolwiek obserwowali.

V

Było to pod wieczór, gdy Utterson przybył do mieszkania doktora Jekylla. Paweł od razu go wprowadził. Szedł z nim przez podwórze, które niegdyś było ogrodem, do budynku nazwanego „laboratorium”. Doktor Jekyll kupił go od spadkobierców pewnego słynnego chirurga, a ponieważ uważał się raczej za chemika niż

za anatoma, dał budynkowi w głębi podwórza nowe przeznaczenie.

Po raz pierwszy adwokat udawał się w tę część mieszkania swego przyjaciela; z wielkim zaciekawieniem oglądał stary budynek i z nieprzyjemnym uczuciem rozglądał się po sali wykładowej, ongi¹⁰ przepelnionej rozgwarem pilnych studentów, a teraz opustoszałej i bezludnej: na stołach znajdowały się aparaty do studiów chemicznych, retorty, flaszki i flaszeczki; na podłodze było kilka skrzyń i koszyków napełnionych wiórami; przez zakurzoną kopułę padało na salę wykładową skąpe, sine światło. Na końcu sali wykładowej prowadziły schodki do drzwi okolonych czerwonym fryzem; przez te drzwi dostał się wreszcie Utterson do gabinetu doktora.

Był to przestronny pokój z oszklonymi szafami przy wszystkich ścianach; trzy zakratowane okna wychodziły na podwórze. Na kominku płonął ogień, na gzymsie kominka paliła się lampa, a tuż obok siedział doktor Je-

¹⁰ongi (daw.) — niegdyś, dawniej. [przypis edytorski]

kyll; miał wygląd ciężko chorego człowieka. Nie wstał celem powitania gościa, podał mu tylko rękę i powitał go matowym głosem:

— Czy znasz ostatnią nowinę? — zapytał Utterson, gdy Paweł opuścił gabinet.

Doktor Jekyll zatrzęsł się, jakby go mróz obleciał.

— Słyszałem sprzedawców gazet wykrzykujących na ulicach; krzyki dotarły do mojej jadalni.

— Jeszcze jedno słowo — rzekł adwokat. — Carew był moim klientem, ty nim jesteś także, chciałbym wiedzieć, co mam czynić. Chyba nie popełniłeś tej nieostrożności, by tego mordercę ukrywać...

— Uttersonie, przysięgam — zawołał doktor — przysięgam na Boga, że nie chcę go więcej widzieć na oczy. Daję ci słowo honoru, że zerwałem z nim raz na zawsze. To się już skończyło. On nie potrzebuje więcej mojej pomocy. Nie znasz go tak jak ja... On jest teraz zupełnie zabezpieczony... Słuchaj, co ci powiadam: nigdy nikt o nim więcej nie usłyszy...

Adwokat przysłuchiwał się tym słowom z nie-
tajonym gniewem; wzburzenie przyjaciela nie
podało mu się.

— Czy jesteś tego absolutnie pewien, że on
się więcej nigdy nie pojawi? — zapytał wresz-
cie. — W twym własnym interesie chciałbym,
byś miał pod tym względem rację. Gdyby do-
szło bowiem do rozprawy sądowej, mogłoby
i twoje nazwisko być wciągnięte.

— Jestem o niego zupełnie spokojny —
odparł Jekyll. — Mam powód tak sądzić; nie
mogę jednak tego powodu wymienić... Ale prze-
cież w pewnej sprawie potrzebuję twojej pora-
dy. Otrzymałem list i nie wiem, czy mam go
przedłożyć policji. Chciałbym list ten tobie od-
dać, będziesz już sam wiedział, jaki zeń zrobić
użytek. Mam do ciebie tyle zaufania...

— Czy obawiasz się, że list ten mógłby do-
prowadzić do odnalezienia mordercy? — zapy-
tał adwokat.

— Nie — rzekł Jekyll. — Mówiłem ci już,
że jest mi zupełnie obojętne, co się z Hyde'em
stanie. Ten człowiek dla mnie więcej nie ist-

nieje. Myślałem tylko o własnej osobie, która przez tę wstrętną aferę mogłaby być skompromitowana.

Uttersson popadł w zamyślenie. Egoizm przyjaciela wywołał w nim zdziwienie zmieszane z pewną ulgą.

— Hm — rzekł wreszcie — pokaż mi ten list.

List był napisany dziwnym jakimś pismem; widocznie piszący chciał zamaskować swe własne pismo. Podpis brzmiał: „Edward Hyde”. Treść była bardzo krótka; donosił swemu dobroczyńcy, doktorowi Jekyllowi, którego szlachetności tak szpetnie nadużył, by nie przejmował się całą sprawą; Hyde ma wszystkie możliwości ucieczki i wykluczone jest, by go przychwycono...

— A czy masz kopertę? — zapytał Uttersson.

— Spaliłem ją — odparł Jekyll — zanim jeszcze wiedziałem, o co w tym liście chodzi i od kogo pochodzi. Ale pamiętam, że na ko-

percie nie było marki¹¹. List został mi wręczony.

— Czy mam ten list zachować przy sobie? Zastanowiłbym się przez noc, co z nim począć...

— Chciałbym, byś ty za mnie zadecydował. Straciłem do siebie zaufanie.

— Dobrze — odparł adwokat. — A teraz jeszcze jedno: czy Hyde podyktował ci w testamentie owo postanowienie tyczące się wypadku, gdybyś ty „znikł”?

Doktor Jekyll zbladł nagle. Zacisnął wargi i uczynił przytakujący ruch głową.

— Wiedziałem o tym — rzekł Utterson. — Miał on zamiar zamordować cię. Jeszcze stosunkowo dobrze wyszedłeś z tej afery.

— O wiele lepiej, niż ci się wydaje — odparł doktor poważnie. — Miałem nauczkę... O Boże, jaką nauczkę!

Zakrył twarz rękoma i nie rzekł więcej ani słowa.

¹¹*marka* (daw.) — tu: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

Wychodząc z domu zatrzymał się adwokat i zamienił z Pawłem kilka słów.

— Właśnie przyszło mi na myśl — rzekł — że dziś doręczono panu doktorowi list; jak wyglądał oddawca?

Paweł był zdumiony tym pytaniem; zapewnił, że dziś żaden posłaniec nie oddał żadnego listu.

Słowa te wzbudziły w Uttersonie wielki przestach. Widocznie list został doręczony przez drzwi wiodące do laboratorium; a może też został napisany w gabinecie... W tym wypadku należało nań patrzeć innymi oczyma i stosować wszelkie środki ostrożności.

Gdy Utterson szedł ulicami, wykrzykiwali chłopcy, sprzedający pisma: „Nadzwyczajny dodatek! Straszne morderstwo posła!”

Niebawem siedział Utterson przy kominku w swym mieszkaniu, a naprzeciw niego — jego pierwszy sekretarz Guest. W pośrodku między nimi na stoliku stała flaszką wina, które przez wiele lat z dala od światła słonecznego spoczywało w piwnicy domu.

Mgły gęsto kładły się nad miastem, w którym lampy uliczne błyszcząły jak karbunkuły. Życie toczyło się na wielkich ulicach miasta, ludzie spieszyli do domów, teatrów, restauracji.

Ale w pokoju, w którym siedział Uttersson ze swym sekretarzem, panowała cisza, spokój; płomień kominka wesoło oświecał pokój. Flaszka wina stwarzała przyjemny nastrój; w starym winie znikła już cierpkość; miało ono smak łagodny, miękki.

Z wolna Uttersonem owładnął nastrój spokoju i dobroci. Przed Guestem nie miał żadnych tajemnic; pierwszy sekretarz jego kancelarii adwokackiej bywał często u doktora Jekylla, znał Pawła, słyszał też zapewne o pozycji, którą zajmował Hyde w stosunku do doktora; czy nie należałoby mu pokazać listu? Guest jest przecież doskonałym znawcą rękopisów i w ogóle doświadczonym człowiekiem; zapewne po przeczytaniu tak osobliwego dokumentu poczyni kilka uwag, które przydadzą

się Uttersonowi i dadzą mu ewentualne wskazówki, jak ma postąpić.

— To bardzo smutna historia, to zamordowanie sir Danversa... — rozpoczął rozmowę Utterson.

— Tak jest, bardzo smutna, wywołała też powszechne wzburzenie. Powiadają, że zamordował go obłąkaniec...

— Chętnie wysłuchałbym pańskiej opinii. Mam tu list pisany ręką mordercy. Chciałbym, aby to zostało między nami... nie wiem, doprawdy, co począć... Patrz pan, oto ten list...

Guest z wielkim zadowoleniem począł studiować dokument.

— Nie, panie doktorze — rzekł wreszcie — ten, kto ten list pisał, nie jest wariatem, ale bądź co bądź ma pismo bardzo osobliwe...

W tej chwili wszedł Paweł i przyniósł list.

— Czy to od doktora Jekylla? — zapytał sekretarz. — Pismo wydaje mi się znajome. Coś prywatnego, panie Utterson?

— Tylko zaproszenie na obiad. Czy chciałby pan zobaczyć również to pismo?

— Bardzo proszę — rzekł sekretarz i z wielką gorliwością począł studiować oba listy. — Dziękuję pięknie — rzekł wreszcie — to są bardzo interesujące autografy.

Nastąpiła dłuższa pauza. Wreszcie, po dłuższej walce ze sobą, postawił Utterson pytanie:

— Dlaczego pan porównywał oba te listy?

— Wykazują one bardzo dziwne podobieństwo... Pismo w nich obu jest właściwie identyczne; różny jest tylko kierunek stawiania liter...

— To bardzo dziwne... — rzekł Utterson.

— Bardzo dziwne... — powtórzył Guest.

— Prosiłbym pana, abyś istnienie tego listu zachował w tajemnicy.

— Dobrze, panie doktorze — rzekł sekretarz — pojmuję...

Gdy Utterson był sam, otworzył kasę i włożył do niej list.

„Jak to? — pomyślał — Henryk Jekyll fałszuje w interesie mordercy?”

VI

Czas upływał. Kilka tysięcy funtów wyznaczono na wykrycie mordercy; odczuwano bowiem śmierć Danversa jako niebezpieczeństwo grożące porządkowi publicznemu i czyniono wielkie wysiłki, by ująć niecnego sprawcę. Atoli Hyde znikł tak, jakby nigdy nie istniał. Z przeszłości jego ujawniono jednak wiele szczegółów — i to stawiających go w okropnym świetle; wywiedziano się o jego bezlitosnym okrucieństwie, o jego złajdaczonym sposobie życia, o zadawaniu się z najbardziej pogardy godnymi żywiołami. Ale nie było ani śladu wskazującego, gdzie się obecnie znajduje. Od chwili gdy tuż po dokonaniu mordu, o świcie, opuścił dom w Soho — jakby znikł z powierzchni ziemi...

Czas upływał, a Utterson uspokajał się z wolna i podejrzenia jego w stosunku do Henryka Jekylla rozwiewały się. Odkąd bowiem ustał fatalny wpływ, który widocznie Hyde wywierał na doktora Jekylla, rozpoczął tenże jakby no-

we życie. Ustało odosobnienie, w którym dotychczas pozostawał, nawiązał z powrotem stosunki ze swymi przyjaciółmi, stał się znowu towarzyszem ich wzajemnych przyjęć biesiadnych. Pracował wiele, bywał często na świeżym powietrzu i czuł się bardzo dobrze. Twarz jego stała się pogodniejsza, jaśniało z niej przeświadczenie, że jest znowu pożytecznym członkiem społeczeństwa. Przeżył tak spokojnie przeszło dwa miesiące.

Dnia 8 stycznia był u niego Utterson na kolacji. Zebrało się niewielkie grono przyjaciół. Między nimi był również i doktor Lanyon.

Gdy Utterson 12 i 14 stycznia chciał odwiedzić Jekylla, zastał drzwi zamknięte. Paweł oświadczył mu, że pan doktor nikogo nie przyjmuje. 15 stycznia znowu został odprawiony z niczym. W ostatnich dwóch miesiącach niemal codziennie widywał się ze swym przyjacielem, więc odczuwał ten nawrót do samotności, zaklepienie się Jekylla w czterech ścianach mieszkania jako recydywę melancholii. Następnego

dnia udał się w odwiedzinach do doktora Lanyona.

Przeraził się widocznymi zmianami, które zaszły w wyglądzie lekarza. W twarzy jego ostro rysowały się znaki zbliżającej się śmierci. Kwitnąca do niedawna twarz była wybladła i wychudła; lekarz w ciągu tygodnia postarzał się o kilkanaście lat. Ale nie tylko te znamiona fizycznego marazmu zaniepokoiły adwokata; jeszcze bardziej w oczy rzucała się zmiana duchowego ustroju lekarza, przygnębienie, ba, nawet przerażenie. Nie można było przyjąć, by lekarz uczuwał lęk przed śmiercią, a jednak Utterson temu uczuciu przypisywał wszystko. Myślał sobie: jako lekarz zna Lanyon swój stan, wie, że dni jego są policzone, a ta świadomość jest ponad jego siły. Gdy Utterson począł mówić o kiepskim wyglądzie swego przyjaciela, Lanyon oświadczył mu z całą stanowczością i z głębokim przekonaniem, że uważa swój stan za beznadziejny.

— Miałem atak, po którym już więcej nie wydobreję. Chodzi jeszcze tylko o tydzień.

Tak, tak, życie było piękne i dobre. Żyłem chętnie, możesz mi wierzyć, żyłem chętnie, bez wszelkiego mędrkowania.

— Jekyll jest także chory — zauważył Utterson. — Czy widziałeś go?

Twarz Lanyon skrzywił grymas. Drżącą ręką zrobił ruch zaprzeczenia.

— Nie chcę doktora Jekylla więcej widzieć ani o nim słyszeć — rzekł głośno. — Zerwałem z tym człowiekiem; proszę cię, zaoszczędź mi wszelkiego przypominania osoby, która dla mnie już nie istnieje.

— Sst, sst... — szepnął Utterson i po dłuższej pauzie zapytał. — Czy nie mógłbym czego tu zrobić? Jesteśmy trzej starzy przyjaciele... W tym życiu nie pozyskamy nowych...

— To niemożliwe — odpowiedział Lanyon — zapytaj go sam...

— Ale nie przyjmuje mnie, gdy chcę go odwiedzić — rzekł adwokat.

— To mnie nie dziwi. Mój Uttersonie, kiedy ja umrę, dowiesz się może o wszystkim i bę-

dziesz mógł ocenić słuszność i niesłuszność naszego postępowania. Teraz nic więcej powiedzieć ci nie mogę. A jeśli możesz teraz pogawędzić ze mną o innych rzeczach, proszę, zostań. Jeżeli natomiast nie chcesz ominąć tego przekłętego tematu, wówczas idź sobie, proszę, nie mogę bowiem znieść o tym rozmowy...

Gdy Utterson wrócił do domu, usiadł i napisał do Jekylla. Żalił się na niedopuszczenie go do domu Jekylla i dowiadywał się o przyczyny pożałowania godnego zerwania z Lanyonem.

Następnego dnia otrzymał Utterson w odpowiedzi obszerny list, napisany przeważnie patetycznym stylem; miejscami sens wywodów Jekylla był zupełnie ciemny.

„Spór z Lanyonem — pisał Jekyll — nie da się załagodzić. Nie czynię naszemu staremu przyjacielowi żadnych wyrzutów, ale podzielam jego zdanie, że nie możemy się więcej zejść. Zamierzam odtąd pędzić życie w zupełnym odosobnieniu. Nie dziw się i nie wątp o mojej przyjaźni, choćby

mój dom często przed tobą był zamknięty; muszę sam pójść drogą cierpienia i pokuty. Sam na siebie karę nałożyłem. Nie mogę ci wszystkiego opisać. Jestem największym grzesznikiem między żyjącymi, największa czeka mnie pokuta. Nie byłbym uwierzył, że na ziemi może istnieć tak wielkie cierpienie i tak wielki lęk. Jedno tylko możesz uczynić, Uttersonie, by ulżyć mojemu losowi: uszanować moje milczenie”.

Utterson osłupiał. Niesamowity wpływ Hyde'a ustał po zniknięciu mordercy. Doktor Jekyll wrócił do swych prac i przyjaciół; jeszcze przed tygodniem wszystko wskazywało, że uspokoił się znacznie i rozpoczyna normalny żywot — i oto teraz, nagle, wniwecz się obraca cała treść jego życia, zatraca się doszczętnie spokój jego duchowy, zrywają się wszelkie węzły łączące go z przyjaciółmi. Taka wielka i niespodziewana zmiana jest chyba przejawem obłąkania... A jednak gdy Utterson zastanawiał

się nad zachowaniem i słowami Lanyona, dochodził do przeświadczenia, że istnieje ponadto jakaś niedopowiedziana, głębsza przyczyna, jakaś tajemnica, której Utterson nie zdołał odkryć...

W tydzień potem doktor Lanyon położył się do łóżka, a w dwa tygodnie potem nie żył...

Wieczorem po pogrzebie zamknął się Utterson w swym gabinecie. Siedział przy biurku przy mętnym świetle świecy i miał przed sobą kopertę własnoręcznie zaadresowaną i zapieczętowaną przez zmarłego przyjaciela.

Na kopercie widniał napis:

„Do rąk własnych I. G. Uttersona. Gdyby zmarł przedwcześnie, zniszczyć i nie otwierać!”

Utterson trzymał kopertę w ręce i bał się ją otworzyć. „Pochowałem dziś — pomyślał — jednego przyjaciela, może po otwarciu tej koperty stracę drugiego...”.

Przemógł się wreszcie i rozpieczętował kopertę.

Wewnątrz znajdowała się druga koperta, również zapieczętowana i zaopatrzona w słowa:

„Otworzyć dopiero po śmierci lub zniknięciu dr. Henryka Jekylla”.

Utterson nie wierzył swym oczom. Tak, wyraźnie było napisane: „po zniknięciu”, tak samo jak w testamencie... Ale w testamencie słowa te powstały pod nieszczęsnym wpływem owego Hyde’a, tam miały one jasny i straszny cel... Ale cóż to oznacza, że Lanyon tak pisze? Utterson uczuwał nieposkromioną ochotę nieliczenia się z zakazem, otwarcia natychmiast koperty i ujawnienia od razu wszystkich tajemnic; lecz uczciwość zawodowa przemogła, wierność wobec zmarłego przyjaciela stanowiła wiążące zobowiązanie; toteż Utterson schował kopertę w głębi swej kasy.

Od tego dnia Utterson nie tęsknił więcej ze zbytnią namiętnością za towarzystwem żyjącego jeszcze przyjaciela. Był dlań nadal przyjaźnie usposobiony, ale myślał o nim z lękiem i niepokojem. Oczywiście odwiedzał go, ale z pewną ulgą przyjmował, gdy go Paweł odprawiał z niczym, gdy go nie wpuszczano do pokoju dobrowolnego i niewytłumaczalnego samotni-

ka. Zresztą Paweł nie miał do zakomunikowania żadnych radosnych i przyjemnych wiadomości. Doktor Jekyll zamykał się teraz przeważnie w gabinecie nad laboratorium, gdzie nawet często sypiał. Był przygnębiony, cichy; nie czytał niczego. Widocznie serce jego gniotła ciężka jakaś troska.

Utterson przyzwyczał się zresztą do tych relacji Pawła i coraz rzadziej przychodził.

VII

Pewnej niedzieli, gdy Utterson był na zwykłej przechadzce z Enfieldem, zdarzyło się, że droga ich znowu prowadziła przez ową boczną uliczkę, przy której znajdował się dom bez okien, który swego czasu obudził takie ich zainteresowanie. Gdy obaj znaleźli się tuż obok tego domu, przystanęli i poczęli się przypatrywać jedynym drzwiom wiodącym do wnętrza.

— Historia ta skończyła się — rzekł Enfield. — Nie zobaczymy więcej tego Hyde’a...

— Przypuszczam to także — odparł Utterson. — Czy opowiadałem już panu, że go raz widziałem i że wywarł również i na mnie fatalne wrażenie?

— To zupełnie zrozumiałe. Widok tego człowieka budził obrzydzenie. Mimochodem muszę panu powiedzieć: pan mnie zapewne uważał za głupca, sądząc, że nie wiem, iż ten dom to tylne wejście do domu doktora Jekylla...

— Tak? Wie pan o tym? — rzekł Utterson. — A więc moglibyśmy teraz wejść na podwórze i przypatrzeć się temu osobliwemu domowi. Bo prawdę mówiąc, jestem nieco zatroskany o stan biednego Jekylla. Zdaje mi się, że może uradowałyby go odwiedziny przyjaciela, choćby nawet nie wszedł do mieszkania, a z podwórza z nim zamienił kilka słów.

Podwórze było zimne i wilgotne. Mroki wieczorne zasnuwały już światło, choć słońce jeszcze nie zaszło i na ulicach było jeszcze jasno. Środkowe okno — a było ich od strony podwórza tylko trzy — stało otworem. Siedział

przy nim doktor Jekyll. Twarz miał smutną, ponurą; wyglądał jak więzień chwytający nieco świeżego powietrza.

— Hola, Jekyll! — zawołał Utterson. — Spodziewam się, że masz się już lepiej.

— Bardzo mi źle, Uttersonie — odparł doktor smutnie. — Bardzo źle. To już niedługo potrwa, Bogu dzięki.

— Zbyt wiele przesiadujesz w pokoju — rzekł Utterson. — Powinieneś wyjść na powietrze i pobudzić krążenie krwi, jak pan Enfield i ja. Czy wolno mi przedstawić: mój kuzyn, pan Enfield — pan doktor Jekyll. A więc: zejdz, weź kapelusz, przejdziemy się.

— To bardzo pięknie z twojej strony — westchnął Jekyll — chętnie poszedłbym, ale nie, nie, nie, to niemożliwe, nie wolno mi. Ale do prawdy, Uttersonie, cieszę się, że cię widzę. Wierz mi, cieszę się z całego serca. Zaprosiłbym ciebie i Enfielda do siebie, ale tu u mnie właśnie wielki nieład...

— Dobrze więc — rzekł adwokat dobrodusznie — zostaniemy tu na podwórzu i porozmawiamy.

— Właśnie to chciałem ci zaproponować — rzekł Jekyll, uśmiechając się.

Ale zaledwie te słowa powiedział, gdy uśmiech na jego twarzy zamarł, a przejawił się tak otchłanny lęk i tak głęboka rozpacz, że obu panom, stojącym na podwórzu, krew w żyłach zastygła. Widzieli tę rozpacz i ten lęk tylko przez sekundę, gdyż natychmiast okno się zamknęło; ale ta sekunda wystarczyła. Opuścili podwórze w milczeniu. Również nie mówiąc ani słowa, przeszli małą uliczkę, dopiero gdy znaleźli się na głównej ulicy, na której mimo niedzieli panował dość ożywiony ruch, spojrzął Utterson w twarz swego towarzysza. Była, blada i przerażona.

— Niech nas Pan Bóg ma w swej opiece... — szepnął Utterson.

Enfield skinął głową poważnie i począł w milczeniu iść naprzód.

VIII

Utterson siedział pewnego wieczora po kolacji przy kominku, gdy ku wielkiemu jego zdziwieniu zjawił się Paweł.

— Cóż pana tu sprowadza? — zawołał Utterson. — Co się stało? Czy pan doktor chory?

— Panie Utterson — rzekł Paweł — tam coś nie jest w porządku.

— Tak? Siadaj pan. Oto szklanka wina, wypij pan i opowiedz szczerze, z czym przyszedłeś.

— Wie pan przecież — rzekł Paweł — jaki jest mój pan, i wie pan, że się ostatnio stale odosabnia. Teraz znowu zamyka się w swej pracowni. Panie Utterson, lękam się...

— Mój drogi — rzekł adwokat — proszę mówić szczerze i wyraźnie: czego się pan lęka?

— Już od tygodnia obawiam się — odparł Paweł — a teraz nie mogę już więcej się opowiadać...

Zewnętrzny wygląd Pawła jak najdobitniej potwierdzał te słowa. Postawa jego, zwykle poprawna, wiele pozostawiała teraz do życzenia.

Siedział na fotelu, trzymał szklankę wina na kolanie, nie wypił ani kropli, oczy miał utkwione w dywan.

— Nie mogę się więcej opanować... — powtórzył.

— Pawle! — rzekł Utterson. — Widzę, że zaszło coś poważnego. Niech pan spróbuje mi powiedzieć, o co idzie¹².

— Sądzę, że zaszło coś okropnego — rzekł Paweł ochryplym głosem.

— Coś okropnego? — zawołał adwokat, przerażony i zmieszany. — Co to ma znaczyć?

— Nie mam odwagi powiedzieć, ale czy nie chciałby pan pójść ze mną i osobiście się przekonać?

Utterson powstał i wziął płaszcz i kapelusz. Zauważył, że na twarzy służącego odmalowała się wielka ulga.

Była to burzliwa noc zimowa. Wiatr uniemożliwiał rozmowę. Ulice były zupełnie puste. Utterson chętnie byłby w tej chwili widział do-

¹²*o co idzie* — dziś raczej: o co chodzi. [przypis edytorski]

koła siebie ludzi; samotność i pustka na ulicach wywoływała w nim nieprzyjemne uczucie.

Gdy przybyli na plac przed domem, Paweł się zatrzymał i mimo silnego mrozu zdjął czapkę i otarł czerwoną chusteczką czoło. Lecz mimo szybkiego marszu nie był to pot wywołany zmęczeniem; czoło jego było wilgotne ze strachu; twarz miał bladą, a kiedy mówił, głos jego był chropawy:

— Oto jesteśmy — rzekł — oby Bóg dał, by nic nie zaszło.

Po tych słowach Paweł ostrożnie zapukał. Drzwi uchylły się nieco, a głos jakiś wewnątrz zapytał:

— Czy to ty, Pawle?

— Tak, to ja, otwórz.

Przedsionek, do którego weszli, był jasno oświetlony, wielki ogień płonął na kominku, a dokoła niego była zgromadzona cała służba. Na widok Uttersona pokojówka wydała histeryczny okrzyk, a kucharka zawołała:

— Bogu dzięki, pan Utterson! — i pobiegła do niego, jakby go chciała uścisnąć.

— Co wy tu wszyscy robicie? — rzekł adwokat ostrym tonem. — To zupełnie niewłaściwe postępowanie.

— Oni wszyscy się boją — rzekł Paweł. Pokojówka załkała głośno.

— Stul głębę! — zawołał Paweł z wielką gwałtownością, dowodzącą, jak bardzo jest podniecony.

Gdy dziewczyna poczęła jęczeć, wszyscy obecni skierowali oczy w stronę drzwi prowadzących do wnętrza domu; na twarzach ich malował się przestach i oczekiwanie.

— A teraz — zawołał Paweł do sprzątacza — podaj mi świecę, nareszcie dotrzemy do prawdy!

Poprosił Uttersona, by poszedł za nim, i zaprowadził go na podwórze.

— Teraz, panie Utterson — rzekł — proszę pójść za mną możliwie najciszej. Chciałbym, by pan słyszał, ale by pana nie słyszano. Uważaj pan: gdyby mu wpadło na myśl pana wezwać, niech pan nie wchodzi!

Te niespodziewane słowa omal nie wytrąciły Uttersona z równowagi duchowej, lecz opanował się i szedł za Pawłem przez laboratorium i salę chirurgiczną aż do schodków wiodących do gabinetu. Tu dał mu Paweł znak, by się nieco usunął na bok. Paweł postawił świecę na podłodze i sam zdecydowanym krokiem wszedł na schodki i zapukał do drzwi otoczonych czerwonym fryzem.

— Jaśnie panie, pan Utterson chciałby z panem się rozmówić — rzekł i raz jeszcze uczynił ruch w stronę Uttersona, polecający baczność uwagę.

Jakiś głos odezwał się z wewnątrz:

— Niech mu pan powie, że nikogo nie przyjmuję!

— Dobrze, jaśnie panie — rzekł Paweł, wziął świecę i zaprowadził Uttersona przez podwórze do wielkiej kuchni, w której wygasł ogień i karaluchy biegały po podłodze.

— Panie Utterson — rzekł Paweł — czy to był głos mego pana?

— Wydał mi się bardzo zmieniony — odparł adwokat.

— Zmieniony? Hm, jestem od dwudziestu lat w tym domu i nie miałbym poznać jego głosu? Nie, panie Utterson, mojego pana zamordowali, sprzątnęli przed ośmiu dniami, kiedyśmy słyszeli, że głośno wzywa pomocy boskiej, a co tam jest zamiast niego i dlaczego tam pozostaje, to Bóg raczy wiedzieć, panie Utterson!

— To bardzo dziwna historia, Pawle. Przypuśćmy, że pańskie przypuszczenie jest prawdziwe, przypuśćmy, że doktor Jekyll został zamordowany, to po cóż morderca pozostaje na miejscu czynu? Nie, nie mogę uznać za słuszne pańskiego przypuszczenia.

— Dobrze, panie Utterson, trudno pana zadowolić, ale zdaje mi się, że uda mi się to wreszcie — rzekł Paweł. — Przez cały ubiegły tydzień on albo ono (mam na myśli to stworzenie, które bawi w tamtym gabinecie) wołało o jakieś lekarstwo, którego ani rusz dostać nie można. Już przedtem miał mój pan niekiedy zwyczaj pisania swych zleceń na kartce papie-

ru i zostawiania ich na schodkach. Przez cały ubiegły tydzień stale zastawaliśmy takie kartki na schodach; drzwi były zamknięte wciąż; jedzenie zostawialiśmy również pod drzwiami; zabierał je, gdy nikogo nie było. Pomyśl pan sobie, codziennie, co powiadam, dwa lub trzy razy dziennie zastawałem na schodach karteczki, które mnie wysyłały do wszystkich większych składów aptecznych i sklepów z chemikaliami. Ilekroć przynosiłem flaszkę z zamówioną miksturą, zastawałem niebawem nową karteczkę z wiadomością, bym zwrócił lekarstwo, gdyż nie jest czyste, i zamówił nowe w innej firmie...

— Czy ma pan przy sobie jedną z tych kartek? — zapytał Utterson.

Paweł począł grzebać w kieszeni i dobył zmiętą karteczkę, którą adwokat, pochyliwszy się nad świecą, począł skrupulatnie badać. Treść była następująca:

„Dr Jekyll przesyła panu Maw pozdrowienia i zapewnia, że ostatnia przesyłka jest niezbyt czysta, zatem niezdatna. W roku 18... po-

brałem większą ilość tego lekarstwa. Proszę zatem zbadać w składzie, czy nie ma jeszcze pewnej ilości tego samego gatunku i o ile by się znalazło, przesłać natychmiast. Cena nie odgrywa żadnej roli. Zależy mi na tym bardzo”.

— To bardzo dziwna kartka — rzekł Utterson, a potem ostro zapytał. — A jak to się stało, Pawle, że to pismo ma pan przy sobie i to odpieczętowane?

— Sprzedawca w firmie Maw rozgniewał się i cisnął mi kartką w twarz — wyjaśnił Paweł.

— To jest bezsprzecznie pismo doktora Jekylla — rzekł adwokat. — Co pan sądzi?

— Tak i mnie się zdawało — odparł służący i dodał zmienionym głosem: — Widziałem go!

— Widział go pan? — powtórzył Utterson — i...

— Tak — rzekł Paweł — było to tak: wszedłem nagle z podwórza do sali wykładowej. Widocznie on właśnie wtedy wyszedł, by wziąć lekarstwo, gdyż drzwi do jego gabinetu były

otwarte... Stał w sali wykładowej i szukał czegoś między słojami umieszczonymi na jednym ze stołów. Gdy mnie zobaczył, krzyknął i pędem pobiegł po schodkach do swej pracowni. Widziałem go tylko przez chwilkę; włosy zjeżyły mi się na głowie... Jeśli to był mój pan, to dlaczego miał maskę na twarzy? Jeśli to był mój pan, to dlaczego pisnął jak szczur i uciekł przede mną? Przecież służę u niego od przeszło dwudziestu lat...

Przerwał i potarł sobie ręką czoło.

— To wszystko są bardzo osobliwe okoliczności — rzekł Utterson — ale zdaje mi się, że zaczynam sobie zdawać z wszystkiego sprawę. Pańskiego pana, Pawle, nawiedziła jedna z tych chorób, które dręczą chorego, a zarazem zniekształcają go. Stąd to zapewne pochodzi ta zmiana głosu, stąd ta maska i ukrywanie się przed przyjaciółmi, stąd to pożądanie, by dostać jakie lekarstwo wypróbowane, po którym biedak spodziewa się uleczenia. Dałby Bóg, by to nie było złudą! Oto moje wytłumaczenie; jest ono smutne, Pawle, ale jeżeli się głębiej za-

stanowimy, jedynie naturalne, logiczne i konsekwentne.

— Panie Utterson — rzekł służący, na którego bladej twarzy wykwitło kilka czerwonych plam — ta osoba — to nie był mój pan. Mój pan — Paweł rozejrzał się i począł mówić szepcetem — mój pan ma wielką, piękną postawę, a ta osoba to skarłałe jakieś indywiduum...

A gdy Utterson chciał zaprzeczyć, Paweł zawołał:

— Nie, nie, nie, czy sądzi pan, że po dwudziestu latach nie poznałbym swego pana? Czy sądzi pan, że nie wiem, jak wysoko we drzwiach sięga głowa mego pana, ja, który go co dzień tam widywałem? Nie, panie Utterson, ta osoba w masce to nie był doktor Jekyll. Bóg wie, kto to był, ale że nie mój pan, za to rękę. Jestem przekonany, że tam popełniono morderstwo.

— Pawle — odparł adwokat — jeśli pan tak mówi, to moim jest obowiązkiem upewnić się co do tego. Aczkolwiek chciałbym oszczędzić mego przyjaciela, chociaż ta karteczka dowodzi, że jest jeszcze przy życiu, to jednak zmu-

szony jestem przystąpić do wyłamania drzwi wiodących do jego pokoju.

— Ach, panie Utterson, nareszcie dobre słowo! — zawołał służący.

— A teraz druga kwestia: kto pójdzie ze mną?

— Ja — brzmiała mocna odpowiedź.

— Dobrze — rzekł adwokat. — Cokolwiek z tego wyniknie, moją będzie rzeczą postarać się, by pan nic na tym nie stracił.

— W laboratorium jest siekiera — rzekł Paweł — ja się będę nią posługiwał, pan weźmie drąg do zgartywania¹³ ognia.

— Czy zdaje pan sobie sprawę — rzekł Utterson — że my obaj narażamy się teraz na pewne niebezpieczeństwo?

— Ma pan rację, rzeczywiście tak jest — odparł służący.

— Wobec tego byłoby dobrze, gdybyśmy byli ze sobą całkiem szczerzy. Mam wrażenie, że nie wszystko dopowiedzieliśmy sobie; niejedno myślimy, a nie mówimy. Więc powiedz-

¹³zgartywać (daw.) — zgarniać. [przypis edytorski]

my sobie wszystko! Czy nie poznał pan tego człowieka w masce, czy nie przypuszcza pan, kto to może być?

— Osoba ta była tak skulona i biegła tak szybko, że gdyby mi kazano przysięgać, to odmówiłbym; ale gdyby mnie zapytano, oświadczyłbym: to był pan Hyde! Zupełnie ta sama wysokość i te same szybkie ruchy... A zresztą: któż by inny mógł dostać się przez drzwi prowadzące do laboratorium? Wie pan przecież, że miał on w czasie mordu klucz. Ale i to nie jest jeszcze wszystko. Nie wiem, czy pan spotkał kiedyś tego człowieka?

— Tak — rzekł adwokat — rozmawiałem raz z nim.

— Wobec tego wie pan przecież, że w tym człowieku tkwi coś osobliwego, coś niezwyklego, niewytłumaczonego. Nie wiem, jak by to wyrazić, najprędzej tak: widok jego przejmuje do szpiku kości...

— Muszę przyznać, że uczuwałem coś podobnego — rzekł Utterson.

— Gdy ta zamaskowana istota jak małpa odskoczyła od stołu z chemikaliami i popędziła schodkami do gabinetu, przeszło mi przez myśl: to musi być Hyde! Zapewne, nie mam absolutnej pewności; czytałem wiele książek kryminalnych i wiem, że należy mieć dowód niezbity na swe twierdzenia, ale człowiek ma wyzucie, instynkt jakiś dyktuje nam często prawdziwe twierdzenia, z całą zatem stanowczością utrzymuję, że to był Hyde!

— Tak, tak, tak — powtórzył trzykrotnie adwokat. — Moje obawy ziszczają się. Od samego początku lękałem się, że z tego kontaktu doktora Jekylla z owym pokracznym indywiduum wynikną złe następstwa. Zaprawdę, miał pan rację, Pawle. I ja jestem teraz przekonany, że biedny Henryk został zamordowany, a morderca, Bóg wie, w jakim celu, znajduje się jeszcze w pokoju swej ofiary. A więc dobrze, pomścimy śmierć doktora Jekylla! A teraz, Pawle, niech pan tu wezwie Bradshawa.

Po chwili wszedł wezwany; był blady i wzburzony.

— Uważaj pan, co powiem — rzekł Utterson. — Wiem, że niepewność ciąży na nas wszystkich, ale teraz mamy zamiar położyć jej ostateczny kres. Paweł i ja wtargniemy gwałtem do jego pokoju. Jeśli wszystko jest w porządku, niech się służba niczego nie lęka, ja wezmę wszystko na siebie. By jednak łotrowi nie dać żadnej możliwości wymknięcia się, wyjdzie pan wraz z kuchcikiem, każdy z was zaopatrzone w tęgi kij, na uliczkę i staniecie przed drzwiami prowadzącymi do laboratorium. Macie dziesięć minut czasu, by się dostać na swój posterunek.

Gdy Bradshaw wyszedł, adwokat wyjął zegarek i trzymał go w ręku przez dziesięć minut.

— A teraz, Pawle, udamy się na nasze stanowiska!

Wyszli na podwórze. Chmury przesłoniły księżyc; dokoła ścieliła się gęsta czerń. Paweł znał jednak każdą piędź ziemi w tym domu; po omacku dostali się do sali wykładowej. Zapalił świecę, usiedli i czekali. Wokoło było cicho, tylko z gabinetu dochodziły odgłosy kroków.

— Tak wędruje on przez cały dzień — szepnął Paweł — a ponadto przez większą część nocy. Tylko wtedy, gdy otrzymuje nową próbkę ze składu chemikaliów, następuje krótka pauza. Ach, musi to być kiepskie sumienie, które wywołuje w nim ten wieczny niepokój. W każdym jego kroku jest krew, zbrodniczo przelana krew. Niech pan uważnie się przysłucha, panie Utterson, i niech mi pan powie: czy jest to chód mojego pana?

Kroki to były lekkie, wykonywane z pewnym rozpędem, aczkolwiek chód był powolny. Faktycznie różniły się wielce od ciężkiego, mocnego stąpania Henryka Jekylla.

Utterson westchnął i zapytał:

— A zresztą czy nic poza tym słychać nie było?

— Raz słyszałem płacz.

— Płacz? Jak to? — zapytał adwokat, przejęty nagle wielkim przerażeniem.

— Płacz jakby kobiety lub zatraconej duszy. Uciekłem, było mi tak ciężko na sercu, że sam najchętniej rozplakałbym się...

— No — zawołał Utterson — przystąpmy do dzieła!

Paweł dobył siekiery znajdującej się na jednej ze skrzyń i ustawił świecę na stole, by świeciła im w przygotowaniach do natarcia. Wstrzymując oddech, zbliżyli się możliwie najciszej do drzwi, za którymi ktoś szedł wciąż tam i z powrotem lekkim krokiem.

— Jekyll! — zawołał Utterson donośnym głosem. — Muszę cię koniecznie zobaczyć.

Z gabinetu nie padło ani jedno słowo odpowiedzi.

— Zwracam twoją uwagę — mówił dalej Utterson — że podejrzenia nasze są bardzo ciężkie i że muszę cię zobaczyć. Jeśli nie otworzysz dobrowolnie, otworzę drzwi bez twego zezwolenia, gwałtem!

— Uttersonie — doszedł głos zza drzwi — na miłość boską, miej litość.

— Ach, to nie jest głos Jekylla, to jest Hyde! — zawołał Utterson. — Pawle, wyłamiemy drzwi!

Paweł wziął rozmach i grzmotnął siekierą we drzwi; uderzenie wstrząsnęło ścianą i drzwi zachybotwały w zawiasach. Z gabinetu doleciał krzyk straszny, jakby śmiertelnie przerażonego zwierzęcia. Znowu siekiera spadła na drzwi i znowu wstrząsnęła się ściana. Czterokrotnie Paweł wymierzał cios, lecz drzwi były z niezwykle twardego drzewa, a spoidła mocno i doskonale sporządzone. Dopiero po piątym razie pękły drzwi i runęły do wnętrza pokoju.

Obaj nacierający spojrzeli na wnętrze pracowni. Przed ich oczyma ścielił się obraz spokoju i ciszy. Na stole paliła się lampa, w piecu płonął ogień, kocioł z wrzątkiem stał na trójnogu, pod którym migotał płomyk, na biurku leżały papiery ułożone w porządku, na stoliku obok kominka stała zastawa na herbatę — słowem, pokój ten można by uważać za przyjemny, cichy zakątek uczonego...

W środku pokoju leżało ciało, jeszcze drgające...

Utterson i Paweł weszli na palcach i spojrzeli w twarz leżącego. Był to — Edward Hyde.

Nosił ubranie zbyt wielkie, ubranie doktora Jekylla. Muskuly twarzy jego drgały jeszcze, ale życie z tego człowieka już uleciało. W ręku ścisnął szklaną rurkę; w powietrzu unosił się jakiś mocny zapach...

Utterson zrozumiał, że ma przed sobą trupa samobójcy.

— Przybyliśmy za późno — rzekł poważnie — za późno, by ratować, i za późno, by karać. Hyde stanął przed najsprawiedliwszym sędzią świata... A teraz musimy jeszcze znaleźć ciało mego przyjaciela, Jekylla.

Główną część domu zajmowała sala wykładowa, wypełniająca cały parter; nad tą salą znajdował się gabinet. Korytarz łączył salę wykładową z drzwiami prowadzącymi w boczną uliczkę. Ponadto znajdowało się w domu kilka jeszcze ciemnych zakamarków i przestronna piwnica.

Wszystkie te miejsca przeszukał Utterson z Pawłem z wielką starannością. Nie trwało to długo: wszystkie bowiem zakamarki były puste; sądząc po kurzu, jaki opadał z drzwi, któ-

re otwierali, od dawna nikt do tych komórek nie wchodził. Piwnica natomiast była przepelniona różnymi gratami, pochodzącymi jeszcze z czasu, gdy dom należał do chirurga, od którego go Jekyll nabył. Lecz gdy drzwi do piwnicy otwarli, zrozumieli, że wszelkie poszukiwania byłyby tu bezcelowe, gdyż gęste kłęby pajęczyny dowodziły, iż od lat wielu piwnica była nieużywana.

Nigdzie nie było śladu Henryka Jekylla, żywego albo nieżywego.

Paweł począł tłuc w płyty kamienne korytarza.

— Może tu jest zakopany, pod podłogą...
— rzekł i przysłuchiwał się odgłosom swych uderzeń.

— Albo uciekł... — rzekł Utterson i przystąpił do zbadania drzwi wiodących do uliczki. W pobliżu drzwi znaleźli na podłodze klucz. Był on niemal cały zardzewiały.

— Nie zdaje mi się, by ten klucz był często używany — zauważył adwokat.

— Używany? — powtórzył Paweł. — Czy nie widzi pan, że jest złamany?

— Faktycznie — potwierdził Utterson — a miejsca, w których klucz jest złamany, są również zardzewiałe.

Obaj spojrzeli na siebie zdumieni.

— Tego rozumem ogarnąć nie umiem. Pawle, wrócimy do gabinetu.

W milczeniu szli po stopniach, rzucili spojrzenie na trupa i przystąpili do szczegółowego zbadania urządzenia pracowni. Na jednym ze stołów widoczne były ślady pracy chemika; na szklanych tafelkach leżały porozdzielane kupki białego proszku, jakby przygotowane do doświadczenia, w którego wykonaniu przeszkodzono nieszczęśliwcowi.

— To są te proszki, które mu zawsze musiałem sprowadzać z różnych aptek i składów chemicznych — rzekł Paweł.

W tej chwili poczęła kipieć woda w kotle. Skierowali się ku kominkowi, gdzie stał wygodny fotel, a przed nim niewielki stół; wszyst-

ko na nim było przygotowane do wypicia herbaty; nawet cukier leżał już w filiżance.

Obok filiżanki leżała otwarta książka i Utterson zauważył ze zdziwieniem, że był to egzemplarz nabożnego dzieła, o którym doktor Jekyll parokrotnie wyrażał się z wielkim uznaniem; jednak na brzegach niemal każdej strony były ręką Jekylla wypisane uwagi zawierające przerażające bezceństwa.

Potem skierowali się do biurka. Między różnymi, w porządku poukładanymi papierami znajdowała się wielka koperta. Pismem Jekylla było na niej wypisane nazwisko Uttersona. Adwokat otworzył kopertę. Wypadło z niej kilka dokumentów.

Jednym z nich był testament doktora Jekylla, spisany podobnie ekscentrycznym stylem jak ten, który Utterson zwrócił mu przed sześciu miesiącami. Tak samo były w tym testamencie wymienione dwie ewentualności: na wypadek śmierci i na wypadek zniknięcia Jekylla. Lecz zamiast nazwiska Edwarda Hyde przeczytał adwokat ku swemu nieopisanemu zdu-

mieniu swe własne nazwisko... Wyraźnie: Gabriel John Utterson... Spojrzał na Pawła, potem znowu na dokument, a wreszcie na nieżywego mordercę leżącego na dywanie.

— Mam wrażenie, jakby mi koło młyńskie obracało się w mózgu — rzekł i, wskazując na trupa, dodał: — Ten człowiek był tu dniami całymi, znał ten dokument; nie miał najmniejszego powodu, by być mi życzliwy; musiał być oburzony, że go doktor Jekyll pominął w testamencie, a mimo to nie zniszczył tego testamentu, wydziedziczającego go, a przyznającego spadek mnie...

Wziął do ręki drugi dokument; była to kartka papieru zapisana pismem doktora Jekylla i zaopatrzona w datę.

— Ach, Pawle! — zawołał adwokat. — Jeszcze dziś był przy życiu i bawił¹⁴ tutaj! W tak krótkim czasie nie mógł go przecież Hyde uprzętać, a więc Jekyll żyje! Zniknął po prostu... Ale... dlaczego zniknął? W jaki sposób? A jeśli tak jest, to jak wytłumaczyć to samobójstwo?

¹⁴*bawić gdzieś* (daw.) — przebywać gdzieś. [przypis edytorski]

Musimy być bardzo ostrożni... Przewiduję, że pańskiego chlebodawcę wplączemy jeszcze w okropną katastrofę!

— Dlaczego pan nie czyta, co napisane na tej kartce papieru? — zapytał Paweł.

— Lękam się... — odparł adwokat poważnie.

Lecz przecież wziął kartkę i odczytał słowa:

„Mój kochany Uttersonie! Gdy te słowa będziesz odczytywał, mnie tu już nie będzie; zniknę, i to wśród okoliczności, których, pisząc to, oczywiście przewidzieć nie mogę. Jednak przeczucie mi powiada, a wnioskuje również z mego okropnego położenia, że niebawem zakończę swe życie. Wtedy przeczytaj najpierw relację, którą Lanyon, jak mi sam powiedział, miał ci wręczyć, a jeśli jeszcze więcej chcesz wiedzieć, przeczytaj potem wyznanie twego niegodnego i nieszczęśliwego przyjaciela, Henryka Jekylla”.

— Gdzie jest trzeci dokument, który wyleciał z wielkiej koperty? — zapytał Utterson.

— Tu — rzekł Paweł i podniósł z biurka obszerny pakiet, bardzo starannie zapieczętowany.

Adwokat włożył go do kieszeni.

— Najlepiej, gdy ani słowa nie wspomniemy o tych papierach — rzekł. — Jeśli pański chlebodawca uciekł albo nie żyje, to przynajmniej uratujmy jego reputację. Mamy teraz godzinę dziesiątą. Pójdę do domu i spokojnie przeczytam te dokumenty. Za dwie godziny, a więc około północy, będę tu z powrotem; wtedy zawiadomimy policję.

Wyszli, zamknęli drzwi za sobą i adwokat udał się do swego mieszkania, by przeczytać obie relacje, mające przynieść rozwiązanie tajemniczej, zagadkowej afery.

IX. RELACJA DOKTORA LANYONA

9 stycznia, a więc przed czterema dniami otrzymałem wieczorną pocztą list polecony; z adresu poznałem pismo mego kolegi szkolnego, Henryka Jekylla. Byłem tym wielce zdziwiony, ponieważ nie utrzymywaliśmy ze sobą żadnej korespondencji listownej. Ponadto właśnie dnia poprzedniego odwiedziłem go i zjadłem u niego kolację — nasz stosunek zatem nie mógł tłumaczyć nadesłania mi takiego formalnego listu poleconego. Treść listu wzbudziła we mnie jeszcze większe zdumienie. Brzmiał on następująco:

„Kochany Lanyonie!

Jesteś jednym z moich najlepszych przyjaciół, a jeśli byliśmy niekiedy odmiennych zapatrywań co do różnych kwestii naukowych, to jednak nie mogę sobie przypomnieć, byśmy się kiedy na serio poróżnili i by nasza przyjaźń kiedykolwiek zaznała zmażenia. Gdybyś mi kiedykolwiek

powiedział: »Moje życie, mój honor, wszystko zależy od ciebie« — poświęciłbym swój majątek, prawicę, by ci pomóc.

Lanyonie, moje życie, mój honor, wszystko zależne jest od twego współczucia, jeśli mi dzisiejszej nocy nie udzielisz pomocy, jestem zgubiony!

Po tym wstępie mógłbyś może pomyśleć, że poproszę cię o coś, czego uczciwy człowiek nie mógłby spełnić. Więc osądź sam:

Proszę cię więc, byś dzisiejszego wieczora nie przyjął żadnych innych zobowiązań, choćby cię wzywano do łóża chorego cesarza, byś wziął dorożkę — o ile byś nie miał pod ręką twego powozu — i byś wprost do mnie pojechał. Mój służący Paweł otrzymał instrukcje, będzie cię on oczekiwał z ślusarzem. Musicie gwałtem otworzyć drzwi do mojej pracowni. Po dokonaniu tego, proszę, wejdź sam, otwórz oszkloną szafę, znaczoną literą E, rozbij po prostu zamek, o ile szafa nie jest otwarta, i wy-

ciągnij czwartą z góry lub, co na jedno wychodzi, trzecią szufladę z dołu. W tym niezwykłym zdenerwowaniu odczuwam chorobliwy lęk, czy dane powyższe są ścisłe; o ile bym się mylił, to sam rozpoznasz, którą szufladę mam na myśli: znajduje się w niej kilka lekarstw, jedna szklana rurka i notesik. Szufladę tę weź ze sobą do swego mieszkania tak, jak ją zastaniesz.

To jest pierwsza część twojej pomocy. A teraz druga: jeżeli natychmiast po otrzymaniu tego listu ruszysz w drogę, wrócisz do domu przed północą. Chciałbym, byś wrócił później, wtedy, kiedy twoja służba już spoczywa. Proszę cię, byś o północy sam bawił w twym gabinecie i własnoręcznie wpuścił do domu pewnego człowieka, który przyjdzie w moim imieniu; wręcz mu szufladę, którą zabrałeś z mego mieszkania.

Gdy to zrobisz, spełnisz wszystko, o co proszę: zaskarbisz sobie moją wdzięczność.

Powyższe zarządzenia są największej wagi; gdybyś ich nie chciał spełnić, uważając je za wybryk fantazji, obciążyłbyś swe sumienie moją śmiercią.

Chociaż żywię niepłonną nadzieję, że mego błagania o pomoc nie będziesz uważał za kiepski żart, drzę na myśl, że mógłbyś przecież tak się zapatrywać na moją prośbę. Musisz zatem wiedzieć, w jakim jestem teraz właśnie stanie: znajduję się w obskurnej okolicy, pogrążony w takiej rozpacz, jakiej sobie najbujniejsza wyobraźnia nie może odtworzyć, i zdaję sobie sprawę, że jeśli mi dopomożesz, wówczas cały mój lęk mnie opuści.

Pomóż mi zatem, mój drogi Lanyonie, i uratuj twego przyjaciela,
Henryka Jekylla.

PS. Zapieczętowałem już list, gdy mnie ogarnął od nowa strach. Możliwą jest rzeczą, że poczta nie doręczy ci tego listu punktualnie i że otrzymasz go dopiero jutro rano. W tym wypadku wypełń moje pole-

cenie, drogi Lanyonie, w ciągu dnia, kiedy ci najwygodniej, i oczekuj mego posłańca następnej nocy. Może wtedy będzie już za późno... Gdyby noc ta minęła, a nikt się u ciebie nie pojawił, wiedz, że widziałeś Henryka Jekylla po raz ostatni...”

Po przeczytaniu tego listu byłem przekonany, że mój kolega zwariował. Póki jednak nie miałem oczywistego dowodu, poczuwałem się do obowiązku wypełnienia jego życzenia. Nie rozumiejąc wcale jego pisaniny, nie mogłem również ocenić znaczenia tych słów. Tak wymownego wezwania o pomoc nie mogłem po prostu pominąć, nie chcąc się obciążyć wielką i ciężką odpowiedzialnością. Toteż natychmiast zebrałem się, wziąłem dorożkę i pojechałem do domu Jekylla. Służący oczekiwał już mego przybycia; otrzymał on tą samą pocztą również list polecony, zawierający szereg instrukcji i wezwał ślusarza i cieślę. Gdyśmy ze sobą rozmawiali, nadeszli obaj rzemieślnicy i uda-

liśmy się przez salę wykładową do prywatnego gabinetu Jekylla. Drzwi były bardzo mocne, zamek doskonały. Cieśla zwrócił naszą uwagę, iż dostanie się do wnętrza gwałtem będzie bardzo trudne i narobi wiele szkód. — Ślusarz był jednak bardzo zręczny w swoim fachu i po dwugodzinnej pracy udało mu się otworzyć drzwi. Szafa ze znakiem E była otwarta. Wyjąłem szufladę, kazałem ją wypełnić słomą, owinąć w papier i wróciłem z nią do swego mieszkania.

Tam przystąpiłem natychmiast do zbadania zawartości szuflady. Proszki były spreparowane wcale¹⁵ pracowicie; praca ta jednak nie wykazywała dokładności zawodowego chemika; poznać było od razu, że Jekyll sporządził je sam; gdy otworzyłem jedno z opakowań, znalazłem — o ile się nie mylę — jakąś skryształizowaną sól o białej barwie. Rurka szklana, ku której następnie skierowałem swoją uwagę, była do połowy wypełniona jakimś czerwonym płynem działającym niezwykle silnie na zmysł powonienia; miałem wrażenie, że jest wypeł-

¹⁵wcale (daw.) — tu: zupełnie, całkiem. [przypis edytorski]

niona fosforem i eterem; co do innych składników, nie mogłem sobie w danym momencie zdać należycie sprawy. Prócz tego znajdował się w szufladzie zwyczajny notes, zawierający właściwie tylko szereg dat. Obejmowały one czas wielu lat; zwróciło moją uwagę, że przed rokiem zapiski ustały. Gdzieś obok daty znajdowała się krótka uwaga, przeważnie tylko jedno słowo. Uwaga „podwójnie” widniała może sześć razy wśród setek zapisków, a raz znalazłem słowa: „zupełnie nieudane!!!”. Wszystko to podnieciło moją ciekawość, nie dawało jednak żadnego wytłumaczenia. Przedemną leżała rurka z jakąś tynkturą, zawiniątko z proszkami i zapiski odnoszące się widocznie do eksperymentów, które — jak niemal wszystkie naukowe badania doktora Jekylla — nie doprowadziły do żadnych praktycznych rezultatów. Cóż mogło mieć wspólnego przyniesienie tych rzeczy do mego mieszkania z życiem i honorem mego zdziwaczałego kolegi? Po cóż ma posłaniec jego o północy przychodzić po

odbiór tych drobiazgów? Dlaczego mam go przyjąć sam, gdy służba moja będzie spała?

Im bardziej nad tym wszystkim zastanawiałem się, tym bardziej dochodziłem do przekonania, że mam do czynienia z wypadkiem choroby umysłowej; poleciłem wprowadzić mym służącym, by udali się na spoczynek, jednak naładowałem rewolwer, by na wszelki wypadek nie być pozbawionym broni.

Właśnie wybiła godzina dwunasta na wieżach Londynu, gdy ktoś ostrożnie zapukał do drzwi wchodowych. Poszedłem osobiście i, otworzywszy drzwi, zastałem jakiegoś niskiego człowieka opartego o odrzwia.

— Czy pan przychodzi od doktora Jekylla?
— zapytałem.

Skinął potakująco głową, a gdy go poprosiłem, by wszedł, zauważyłem, że wzrok jego skierowany jest na ciemny plac przed domem, jakby tam czego szukał. Na placu stał policjant, który właśnie wyłonił się z jednej z bocznych uliczek. Na jego widok zadrżał ów człowieczek i szybko wsunął się do mego domu.

Przyznać muszę, że to jego zachowanie się wywołało we mnie przykre uczucie; toteż, idąc za nim do jasno oświetlonego mego gabinetu, trzymałem w ręce rewolwer.

Nareszcie miałem sposobność przypatrzeć się mu bliżej. Że go nigdy przedtem nie widziałem — to było pewne. Był, jak już zaznaczyłem, niskiego wzrostu; uderzył mnie odrażający wyraz jego twarzy, dziwne połączenie niezwykłego przedenerwowania z wielkim, widocznym wyczerpaniem fizycznym; obecność jego wywoływała we mnie jakiś dziwny niepokój. Podobny był ten niepokój do rozpoczynających się dreszczy; towarzyszyło mu osobliwe jakieś osłabienie tętna. Wówczas tłumaczyłem sobie to idiosynkrazją¹⁶ i dziwiłem się tylko sile tych symptomatów; jednak potem miałem wszelki powód do twierdzenia, że przyczyna tych symptomatów tkwi głębiej w naturze ludzkiej.

Osoba ta, która od chwili pojawienia się wywołała we mnie uczucie, które nazwać mógł-

¹⁶*idiosynkrazja* — wstręt, antypatia wobec kogoś. [przypis edytorski]

bym odrazą skojarzoną z zaciekawieniem — osoba ta była ubrana w taki sposób, który każdego przeciętnego człowieka naraziłby na śmieszność. Nosiła bowiem ubranie wprawdzie wytworne i drogie, ale nazbyt wielkie i uszyte na miarę o wiele wyższego i cięższego mężczyzny. Spodnie opadały z nóg i były podciągnięte, by nie suwały się swymi końcami po ziemi, stan surduta opadał poniżej bioder, kołnierz opadał szeroko na barki. Brzmi to dziwnie, ale ten komiczny strój nie pobudzał mnie wcale do śmiechu. Coś nienormalnego, niedorzecznego w istocie tej postaci działało na mnie intensywnie i budziło zainteresowanie i ciekawość, tyczącą się życia, losów, pozycji na świecie tej pokracznej, a tak pociągającej, wstrętnej, a tak potężne wrażenie budzącej osobowości.

Spostrzeżenia te, które, tu spisane, zajmują wiele miejsca, były wówczas jednak dziełem kilku tylko sekund.

Mój gość płonął niesamowitym wprost wzburzeniem.

— Czy przyniósł ją pan? — wykrzykiwał.
— Czy przyniósł pan szufladę?

Niecierpliwość jego była tak wielka i żywa, iż nawet położył rękę na moim ramieniu i usiłował mną potrząsnąć.

Odepchnąłem go, gdyż dotknięcie jego wywoływało we mnie dziwne uczucie bólu.

— Dostyc tego, mój panie — rzekłem — pan zapomina, że nie mam jeszcze przyjemności znać pana; siadaj pan, proszę...

Sam dałem przykład i usiadłem na zwykłym swym miejscu. Przy czym imitowałem sposób, w jaki zwykłem się obchodzić ze swymi pacjentami, oczywiście, o ile ta poza była możliwa o tak spóźnionej porze wobec takiego gościa i wobec przestרחu, jaki we mnie budził.

— Proszę o wybaczenie, panie doktorze Lanyon — rzekł uprzejmie. — Ma pan wszelki powód tak mówić. Moja niecierpliwość była większa niż moja uprzejmość. Przychodzę na prośbę pańskiego kolegi, doktora Henryka Je-

kyla, w pewnym interesie, mającym poważne znaczenie, i o ile słyszałem...

Przerwał i chwycił się ręką za szyję. Widziałem, że mimo pozornego opanowania się, walczy z atakiem neurastenii.

— Słyszałem — dokończył — że szuflada...

Zlitowałem się nad biedakiem i, wskazując szufladę, stojącą za stołem na podłodze, przykrytą papierem, rzekłem:

— Oto jest, mój panie.

Przyskoczył i położył sobie rękę na sercu. W kurczu dziąseł dwa rzędy zębów uderzały o siebie; twarz jego była tak straszna, że począłem się lękać, by lada chwila nie popadł w omdlenie.

— Niech się pan uspokoi — rzekłem.

Spróbował się uśmiechnąć okropnie smutnym uśmiechem — i rozpaczliwym ruchem nagłej decyzji ściągnął papier, którym szuflada była przykryta. Na widok zawartości szuflady odetchnął głęboko, z taką ulgą, jakby ujrzał coś niezwykle rozkosznego, uszczęśliwiającego.

Po chwili zapytał głosem zupełnie uspokojonym, opanowanym:

— Czy ma pan kieliszek?

Wstałem i z pewnym trudem wyszukałem żądany przedmiot.

Podziękował uśmiechem, nalał do kieliszka kilka kropel czerwonej tynktury i nasypał nieco proszku. Mieszanina, początkowo lekko różowawa, poczęła coraz bardziej stawać się biała, ogrzewać się i wydawać z siebie cienkie smugi pary. Nagle ustało ogrzewanie, które doszło do wrzenia, mieszanina stała się purpurowa, a wreszcie zielona. Mój gość śledził te metamorfozy wzrokiem znawcy. Teraz uśmiechnął się, postawił kieliszek na stół i zwrócił się do mnie z badawczym spojrzeniem.

— A teraz — rzekł — musimy dotrzeć do końca. Czy chce pan pozostać rozsądnym człowiekiem? Czy chce pan pozwolić, bym wziął ten kieliszek i bez dalszych wyjaśnień opuścił pański dom? A może już całkowicie owładnęła panem ciekawość? Niech pan się dobrze zastanowi nad odpowiedzią; decyzja pańska będzie

dla mnie miarodajna. Zależnie od tej decyzji pozostanie pan taki, jaki pan był dotychczas, a więc ani bogatszy, ani mędrszy¹⁷, albo też, jeśli pan się inaczej zdecyduje, pójdzie pan drogami wiodącymi do nowych krain wiedzy, do sławy i władzy; tu, w tym pokoju, w tej chwili oczy pańskie zostaną olśnione cudem, który wstrząsnąłby i zachwiałyby niewiarą samego szatana!

— Mój panie — rzekłem, siląc się na spokój, którego w rzeczywistości nie posiadałem — pańskie słowa są zagadkowe, toteż nie będzie się pan dziwił, że do tych słów nie przywiązuję szczególnej wagi i nie wierzę im. A jednak nazbyt daleko już posunąłem się, uczestnicząc w zagadkowych pańskich matactwach, bym nie chciał również dowiedzieć się ich zakończenia.

— Dobrze więc! — odparł mój gość. — Lanyonie, co teraz zobaczysz, to musisz zachować w bezwzględnej tajemnicy. A teraz ty, który tak długo hołdowałeś ciasnym, material-

¹⁷*mędrszy* — dziś raczej: mądrzejszy. [przypis edytorski]

stycznym poglądom, który zaprzeczał trans-
cendentalnym¹⁸ możliwościom, który zaprze-
czał istnieniu i przewadze duchów, spójrz!

Zbliżył kieliszek do ust i jednym łykiem
wypił miksturę. Potem krzyknął, zatoczył się,
chwycił za stół kurczowo, patrzył wybałuszono-
nymi oczyma, dyszał, mając usta szeroko otwar-
te.

I gdy tak stał, począł się nagle przeobrażać,
pęcznić, rósć¹⁹, twarz jego stawała się ciem-
niejsza, rysy twarzy stapiały się i zlewały...

Następnej chwili podskoczyłem, przypadłem
do ściany, oparłem się o nią, ramię podniosłem
w górę, by się obronić; w moich oczach do-
konywał się cud, moja dusza była przepojona
niebывałym lękiem.

— Boże, Boże! — wołałem — Boże, Boże!
— wciąż powtarzałem, gdyż przed moimi oczy-
ma stał blady i na wpółprzytomny, rękami po-
ruszający jakby w próżni — Henryk Jekyll!

¹⁸*transcendentalny* (filoz.) — wykraczający poza granice umysłu (rozumu), do-
tyczający apriorycznych form poznania. [przypis edytorski]

¹⁹*rósć* (daw.) — dziś raczej: rosnąć. [przypis edytorski]

Co mi opowiedział w następnych godzinach, tego nie mogę mimo najlepszej woli przełać na papier. Widziałem, słyszałem; moja dusza zachorowała. Teraz oto, gdy ów widok znikł sprzed mych oczu, zapytuję się jeszcze, czy wierzę w to wszystko, i nie mogę dać odpowiedzi. Moje życie jest do cna wstrząśnięte, sen opuścił mnie, obok mnie siedzi stale, dniem i nocą, najokropniejsza zmora. Czuję, że dni moje są policzone, że muszę umrzeć. O moralnym upadku, który ten człowiek — ze łzami skruchy — przede mną ujawnił, nie mogę mówić szczegółowo, gdyż ogarnia mnie na tę myśl przerażenie.

Chcę ci tylko jedno powiedzieć, Uttersonie. Czy zechcesz temu uwierzyć? Oto owo stworzenie, które owej nocy zakradło się do mojego domu, było wedle własnych zeznań Jekylla znane pod nazwiskiem „Edward Hyde” i jest w całym kraju poszukiwane jako morderca Carewa.

Hastie Lanyon.

X. RELACJA HENRYKA JEKYLLA

Urodziłem się w roku 18... jako spadkobierca wielkiego majątku. Miałem wybitne uzdolnienia, byłem bardzo pilny, starałem się o to, by zyskać poważanie ludzi mądrych i dobrych; miałem zatem przed sobą zaszczytną przyszłość. Największym moim błędem było to, że miałem silny pociąg do rozwiązłego życia, które wielu ludziom sprawia wielką przyjemność, a które tylko z wielką trudnością mogłem pogodzić z pragnieniem, by ludziom wydać się poważnym i solidnym.

Stało się więc, że musiałem ukrywać moje przyjemności, i gdy po wielu latach rozmyślałem nad sobą i gdy wreszcie rozejrzałem się dokoła i postanowiłem określić moją pozycję w świecie — uświadomiłem sobie, że prowadzę właściwie podwójne życie. Niejeden może byłby o rozwiązłości i wyuzdaniu, które nie było mi obce, triumfująco rozpowiadał, ale wobec wielkich celów życia, które sobie postawiłem,

ukrywałem je z niemal chorobliwą wstydlivością.

A zatem raczej moje wybujałe ambicje niż szczególniejsza nicość charakteru uczyniły mnie tym, czym jestem; ambicje te, głębsze we mnie niż u innych ludzi, rozdzieliły we mnie gruntownie dobro i zło, spowodowały moją dwoistość.

W tym stanie, oczywiście, musiałem głęboko rozmyślać nad tym dualizmem, który jest zarazem źródłem głębokiej wiary, a równocześnie powodem nieskończonej męki. Chociaż zatem w głębi piersi ukrywałem dwie dusze, nie byłem wcale obłudnikiem; byłem zupełnie opanowany obydwoma stronami mej istoty. Moje „ja” całkowicie uczestniczyło zarówno wtedy, gdy zanurzałem się po uszy w hańbie i bezecności, jak i wtedy, gdy na widoku wszystkich pracowałem naukowo, gwoli²⁰ ulżenia doli i cierpieniom ludzkim.

I całkiem przypadkowo studia moje naukowe, skierowane również w stronę dociekań mi-

²⁰*gwoli* (daw.) — dla, w celu. [przypis edytorski]

stycznych i transcendentalnych, doprowadziły mnie do doświadczeń, które uświadomiły mi tę wieczną wojnę i ten stały rozbrat moich skłonności. Z każdym dniem za pomocą obu sposobów duchowego poznania — moralności i rozumu — dochodziłem do prawdy, której odkrycie spowodowało obecnie mój okropny upadek. Oto, że człowiek w rzeczywistości nie jest jedną, lecz dwiema istotami. Mówię: dwiema — ponieważ wiedza moja doszła tylko do tej prawdy. Inni ludzie pójdą śladem moich badań, uzupełnią je, ja zaś ośmielałem się wyrazić pogląd, iż wreszcie człowiek będzie uważany za zbiorowisko licznych, niepodobnych do siebie i niezależnych istot.

O ile chodzi o mnie, to w naturze mej osobowości odkryłem dwie istoty. Widziałem, że we mnie jak na polu bitwy zmagają się dwie istoty. Wiedziałem, że tylko dlatego można by powiedzieć, że jedna z nich jest naprawdę moją jaźnią, ponieważ zasadniczo należałem do obu istot. Już bardzo wcześnie, jeszcze zanim na skutek mych naukowych doświadczeń uzyskałem

możność dokonania takiego cudu, najmilszym
mym marzeniem na jawie była myśl o rozdwo-
jeniu, odseparowaniu obu tych istot. Mówiłem
sobie: gdyby każda z nich mogła być umiesz-
czona w odrębnym ciele, życie byłoby wolne
od wszelkich swych ujemnych cech i niedo-
godności. Zło mogłoby kroczyć swoją drogą,
pozbawione skrupułów swego szlachetniejsze-
go bliźniaka. Dobro mogłoby pewnie i silnie
odbywać swą drogę wzwyż i czynić dobrze, nie
będąc narażone na hamulce ze strony bliźnia-
czego swego zła. To jest klątwą ludzkości —
myślałem — że te dwie nierówne istoty są złą-
czone, że w jednej świadomości tkwią i zwal-
czają się te tak bardzo odmienne siły.

Ale jak je rozdzielić?

Gdy moje myśli pod tym względem już się
skryształizowały, moje badania chemiczne rzu-
ciły nagle nowe światło na cały ten problem.
Poznałem wyraźniej niż dotychczas, jak nie-
materialne, mgliste, zmienne jest to pozornie
tak zwarte ciało, w którym mieszkamy. Od-
kryłem, że pewne siły mają moc wstrząśnię-

cia i rozerwania tej cielesnej powłoki tak, jak silny wiatr zdoła poderwać zasłony namiotu. Z dwóch powodów nie chcę bliżej zająć się tą naukową częścią mojego zeznania. Po pierwsze, ponieważ doszedłem potem do przeświadczenia, że ta klątwa i ten ciężar naszego życia jest przyrodzony człowiekowi; jeśli uczyni się próbę wyzwolenia się z tej klątwy, to wraca ona z większą jeszcze niesamowitością i okropnością. Po wtóre, ponieważ moje odkrycia były niedoskonałe, jak to moja relacja w dalszym ciągu, niestety, bardzo dokładnie wykaże.

Jednym słowem: poznałem, że moje fizyczne ciało jest tylko aurą, wypromieniowaniem części sił, które stanowią moje życie.

Udało mi się wreszcie spreparować środek paralizujący owe siły utrzymujące w jedności moje ciało i dopuszczający do ujawnienia się drugiej postaci, drugiej fizjonomii, która również należała do mego „ja”, ponieważ była typowym wyrazem elementów tkwiących głęboko w mojej duszy.

Zwlekałem długo, zanim tę teorię dla stwierdzenia jej prawdziwości wypróbowałem praktycznie. Wiedziałem dobrze, że doświadczenie to może skończyć się moją śmiercią, gdyż środek, który tak silnie ciało, jakby twierdzą, opanowuje, mógłby w wypadku niedokładnego odmierzenia dawki lub z innej jakiej przyczyny w krytycznym momencie zupełnie zniweczyć cielesną powłokę, ów wąty i kruchy instrument, który miałem zamiar przeobrazić.

Ale wreszcie pokusa dokonania tak osobliwego, jedyne w swym rodzaju i głęboko w skutkach sięgającego odkrycia była większa niż wszystkie moje skrupuły i obawy. Już od dawna sporządziłem moją tynkturę. Teraz sprowadziłem ze składu chemikaliów poważną ilość pewnej soli, o której z mych eksperymentów wiedziałem, że, dodana do tynktury, stwarza ostatecznie środek potrzeby dla moich celów.

Pewnej nieszczęsnej nocy zmieszałem składniki, ujrzałem, że w rurce szklanej kipią i pa-

rują, a gdy mikstura była gotowa — wypilem eliksir...

Uczulem początkowo dręczące bóle: ciągnięcie w kościach, mdłości, wreszcie przerażenie tak okropne, jakiego chyba nie odczuwa się w godzinie śmierci. Lecz prędko te bóle ustały i miałem wrażenie, jakbym wstał po ciężkiej chorobie.

Miałem poczucie jakiejś obcości; było we mnie coś nie do uwierzenia nowego, a tym samym nieopisanie słodkiego. Czulem się młodszy, lżejszy, szczęśliwy. Odczuwałem oszałamiającą beztroskliwość, umysł mój przepływał strumień rozpasanych zmysłowych wyobrażeń; czulem, że jestem wyzwolony z wszystkich wiążących mnie dotychczas zobowiązań; odczuwałem w duszy nieznaną mi dotychczas swobodę.

Lecz od pierwszego oddechu w tym nowym życiu zdałem sobie sprawę, że jestem dziesięciokroć bardziej grzeszny, jestem niewolnikiem zła, które pierwotnie we mnie tkwiło. Myśl ta upajała mnie jak wino. Wyciągnąłem ramiona w rozkosznym przeczuciu tych nowych wra-

żeń i spostrzegłem nagle, że postać moja stała się mniejsza...

Wówczas nie było lustro w moim pokoju. Lustro, obok którego teraz piszę, zostało później wstawione i to tylko dla tych transformacji. Podczas tych moich czynności noc posunęła się bardzo i zbliżał się świt; służba moja spoczywała; wokół było jeszcze zupełnie ciemno. Postanowiłem, wzburzony triumfem mych doświadczeń, udać się w mej nowej postaci do mej sypialni. Zszedłem na podwórze, gdzie gwiazdy na mnie spoglądały, zdziwione — jak sobie wmawiałem — widokiem pierwszej istoty tego rodzaju. Przekradłem się, cichutko stąpając, przez sień, człęk obcy w moim własnym domu. A gdy wstąpiłem do sypialni, ujrzałem w lustrze po raz pierwszy postać — Edwarda Hyde.

Tu muszę mówić często teoretycznie i dać wyjaśnienie, które niezależnie od moich osobistych doświadczeń wydaje mi się najprawdopodobniejsze. Oto zła strona mojej natury, której obecnie dałem tak wybitny wpływ, była

mniej silnie rozwinięta niż dobra strona, której się wyzbyłem. Życie moje było w dziewięciu dziesiątych życiem człowieka pracy, czynów: w ciągu tego życia pierwiastek zła mógł się mniej ujawnić. Stąd to zapewne pochodzi, że Edward Hyde był o wiele mniejszy i młodszy niż Henryk Jekyll. Jeśli z twarzy tego ostatniego promieniowała dobroć, to na twarzy tego drugiego było jawnie wypisane zło. Ono też zresztą całe ciało napiętnowało pewnym zniekształceniem, dekadentyzmem. A jednak: gdy ujrzałem w lustrze tę ohydłą postać, nie odczuwałem żadnej odrazy. Tą istotą byłem przecież ja! Jak zauważyłem, każdy, ilekroć przybrałem postać Edwarda Hyde, wzdrygał się na ten widok. Tłumaczę sobie to tak, że wszyscy ludzie, których spotykałem, składają się z dwóch pierwiastków: dobra i zła — podczas gdy Edward Hyde jako jedyny spośród ludzi składał się jedynie ze zła.

Przed lustrem bawiłem krótko; miałem wykonać drugi, decydujący eksperyment: miałem stwierdzić, czy straciłem niepowrotnie dawne

me ciało, a więc czy przed nastaniem dnia mam uciec z domu, który przestałby być moim. Pośpiesznie wróciłem do mego gabinetu, spreparowałem znowu eliksir i wychyliłem raz jeszcze puchar i — stałem się z powrotem Henrykiem Jekylllem, otrzymałem z powrotem jego charakter i twarz.

Owej nocy los mój sprowadził mnie na rozstajne drogi. Gdybym był uczynił moje odkrycie w chwili szlachetniejszej intencji, gdybym był odważył się na ten eksperyment pod wpływem moralnie dodatnich planów — wszystko poszłoby inaczej; z tej bolesnej metamorfozy odrodziłbym się jako anioł, a nie jako szatan; eliksir bowiem nie miał sam w sobie żadnego działania, nie był on ani boski, ani szatański, otwierał tylko na oścież bramy mych zachceń, a to, co się w więzieniu mej cielesnej powłoki mieściło, uzyskiwało po prostu wolność i swobodę działania. W owym czasie było dobro we mnie uśpione; zło natomiast, popędzane pożądliwością i instynktem rozpasania, było go-

towe uzewnętrznić się: przejawiało się też jako Edward Hyde.

Od tego czasu miałem dwie postaci i dwa charaktery: jeden był gruntownie zły, drugi pozostał nadal charakterem Henryka Jekylla, niejasną mieszaniną, w której odnowienie i poprawienie od dawna zwątpiłem. Tak więc na ogół sytuacja była taka, iż nastąpił zwrot ku gorszemu.

Zdolność dokonywania na sobie przemiany postaci i usposobienia stała się wkrótce moim nałogiem. Wystarczyło wychylić kielich z eliksirem, by natychmiast wyzbyć się postaci znanego i czcigodnego profesora, a przybrać pozór Edwarda Hyde. Lubowałem się tą możliwością, wydawała mi się wtedy nawet humorystyczna; z wielką drobiazgowością począłem czynić przygotowania w celu prowadzenia podwójnego żywota.

Wynająłem i umeblowałem dom w Soho; jako służącą wziąłem kobietę, o której wiedziałem, że jest bez skrupułów i że potrafi milczeć. Oświadczyłem swej służbie, że niejaki Hyde —

którego dokładnie opisałem — ma ode mnie upoważnienie rozporządzania się moim domem. By uniknąć nieporozumień, przychodziłem niekiedy do własnego mieszkania w postaci Hyde'a. Potem napisałem testament, by podczas jakiegoś wypadku, który by mnie w postaci doktora Jekylla spotkał, przejść bez strat pieniężnych w postać Edwarda Hyde. W ten sposób, ubezpieczywszy się na wszystkie strony, począłem osobliwe korzyści mej sytuacji wyzyskiwać.

Dawniej wynajmowali sobie ludzie bandytów, by za nich dokonywali zbrodni, podczas gdy ci, którzy się nimi posługiwali, pozostawali bezpieczni i cieszyli się nienaganną opinią. Ja byłem pierwszy, który mogłem odgrywać obie role. Byłem pierwszy, który mógł wobec opinii publicznej uchodzić za najpoczciwszego obywatela, by w następnej chwili odrzucić całą tę maskaradę i przekształcić się w innego osobnika, korzystającego do syta z wszelakiej swobody. Nieprzejrzana zasłona, która kryła Henryka Jekylla, dawała mu zupełną pewność i bezpie-

czeństwo. Zważ: doktor Jekyll nie istniał wcale! Wystarczyło, bym dopadł do drzwi mego laboratorium, miał kilka chwil do dyspozycji w celu sporządzenia i zażycia mikstury, której części składowe leżały zawsze gotowe do użycia — i cokolwiek zrobił Edward Hyde, było niekaralne, bo Edward Hyde zatracił się jak dmuchnięcie na szybie, a w jego miejscu stał Henryk Jekyll, wygodny domator, spokojny obywatel, który z wszelką racją uśmiechnąłby się wobec każdego podejrzenia.

Przyjemności, których sobie nie skąpiłem w nowej mej postaci, były bezecne; nie chciałbym, doprawdy, użyć ostrzejszego wyrażenia. Lecz wkrótce w ręku Edwarda Hyde stały się ohydne. Kiedy z takich wypraw wracałem, dziwiłem się niejednokrotnie, jak gruntownie zepsuty byłem w mej drugiej postaci. Oto faktotum²¹, które obudziłem z mej duszy do życia i które samopas puszczałem w świat, by zaspakajało swe żądze, było złośliwą, ordynarną,

²¹*faktotum* (z łac.) — osoba zaufana, spełniająca usługi wszelkiego rodzaju.
[przypis edytorski]

zbrodniczą istotą. Egoizm był źródłem każdego jego czynu. Z zwierzęcą pożądlivością sycił się widokiem coraz cięższych mąk, które sprawiał innym, nie znając litości, jakby stworzenie z kamienia. Henryk Jekyll brzydził się niekiedy postępami Edwarda Hyde, ale cały ten stan był taki jakiś niezwykły i bezprawny, iż z wolna przestały się u Henryka Jekylla odzywać wyrzuty sumienia. Boć przecież Hyde, tylko Hyde popełniał zbrodnie. Jekyll nie stawał się przez nie gorszy, budził się po każdej takiej nocy ze swymi dobrymi właściwościami i cnotami. Ba, często nawet śpieszył, by naprawiać krzywdy, które wyrządzał Hyde. W ten sposób sumienie jego uspokajało się.

W poszczególne zbrodnie, które w ten sposób dochodziły do mojej wiedzy — gdyż nawet i teraz nie może mi się pomieścić w głowie, że ja je popełniłem — nie chcę tu wchodzić. Chcę tylko opisać ostrzegawcze znaki, po których poznałem, że zbliża się czas kary.

Najpierw przydarzyła mi się drobnostka, która nie pociągnęła za sobą żadnych następstw;

dlatego chcę o niej krótko wspomnieć. Moje brutalne zachowanie się wobec dziecka wywołało zgorszenie u pewnego przechodnia, którego niedawno poznałem jako twego kuzyna. Lekarz i krewni tego dziecka otoczyli mnie i przez kilka chwil obawiałem się o swe życie. By ich słuszne wzburzenie uspokoić, musiał ich Hyde zaprowadzić do owych drzwi i dać im czek, wystawiony i podpisany przez Henryka Jekylla. Usunąłem jednak to niebezpieczeństwo na przyszłość w ten sposób, że otworzyłem konto w innym banku na nazwisko Edwarda Hyde. Zaopatrzyłem mego sobowtóra we własny jego podpis, zmieniając me pismo; w ten sposób byłem przekonany, że nic złego mnie więcej spotkać nie może.

Mniej więcej na dwa miesiące przed zamordowaniem sir Danversa wróciłem razu pewnego z lampartowania późno w nocy, a gdy się rano obudziłem w mym łóżku, miałem poczucie że coś nie jest w porządku. Nie pomagało, że się bacznie rozglądałem dokoła, nie pomagało, że przypatrywałem się wytwornemu urządze-

niu mej sypialni. Poznawałem wzór haftowany na kołdrze, poznawałem rysunek na mahoniowych meblach; a jednak uporczywie tkwiło we mnie poczucie, że faktycznie mnie tu nie ma, że nie obudziłem się tu, gdzie leżę — lecz że znajduję się w małym pokoju w Soho, gdzie zwykłem czasem sypiać w postaci Edwarda Hyde. Uśmiechnąłem się i począłem spokojnie analizować przyczyny mej iluzji, przy czym popadałem niekiedy w przyjemny stan półsnu. W pewnym momencie wzrok mój padł na moją rękę. Ręka Henryka Jekylla była, jak to sam często mówiłeś, co do swej formy i wielkości prawdziwą ręką uczonego: wielka, mocna, biała, starannie pielęgnowana — ręka natomiast, którą teraz ujrzałem w żółtym świetle poranka, ręka ta, leżąca na kołdrze, była chuda, koścista, brudnoblada, gęsto pokryta czarnawymi włoskami. Była to ręka Edwarda Hyde.

Spoglądałem na tę rękę zapewne z pół minuty, zupełnie osłupiały, zanim w mej piersi obudził się paniczny przestrah. Wyskoczyłem z łóżka i dopadłem lustra. Na widok, który się

ukazał mym oczom, skóra na mnie ścierpła. Tak, położyłem się do łóżka jako Henryk Jekyll, a obudziłem się jako Edward Hyde. Zapytywałem siebie: jak to sobie wytłumaczyć? A potem w przypiływie nowej fali lęku: jak to zmienić?

Było już dość późno, cała moja służba już dawno była na nogach, wszystkie moje chemikalia znajdowały się w mym gabinecie... Prowadziła tam daleka droga: trzeba było zejść z dwóch pięter, przejść przez podwórze, dostać się do sali wykładowej, a stąd dopiero do mego gabinetu. Przerażony byłem koniecznością odbycia tej drogi. Ostatecznie byłoby możliwe ukryć twarz, ale cóż to pomagało, jeśli nie mogłem ukryć zmiany mej całej postaci? Po chwili z wielką ulgą przypomniałem sobie; wszak moi służący przywykli już do przychodzenia i wychodzenia mego drugiego „ja”. Prędko ubrałem się w ubranie skrojone na moją właściwą miarę i szczęśliwie przebyłem całą drogę. Spotkał mnie tylko Bradshaw; wytrzeszczył oczy, widząc o tej porze Hyde’a i to w tak dziwnym

ubraniu. Dziesięć minut potem odzyskał doktor Jekyll swą własną postać i zasiadł z pochmurną twarzą do śniadania.

Zrozumiałe, że mój apetyt był niewielki. Ten niewytłumaczalny wypadek, obalający moje wszystkie dotychczasowe doświadczenia, był jakby owo *mane-tekel*²² na ścianie pałacu babilońskiego, okazujące mi moje fatalne przeznaczenie i smutny koniec. Poważniej niż dotychczas zastanowiłem się nad możliwościami i następstwami mego podwójnego życia. Ta część natury, którą zdołałem oblec w realne kształty, ostatnimi czasy zbyt wyprzedziła się na pierwszy plan i wzmocniła się. Zwiertzyłem wielkie, grożące mi niebezpieczeństwo. Gdyby tak dalej pójść miało, mogłaby być na stałe zachwiana równowaga obu postaci, mógłbym stracić władzę nad dobrowolną metamorfozą, charakter Edwarda Hyde mógłby na stałe, nieodwołal-

²²*mane-tekel*, właśc. *mane, tekel, fares* — słowa, które według opowieści biblijnej z *Księgi Daniela* (5,25) wypisała tajemnicza ręka na ścianie pałacu w Babilonie podczas uczy króla Baltazara; znaczenie napisu: „policzono, zważono, rozproszono” (w jęz. hebr., aram. a. chaldejskim) zostało odczytane jako przepowiednia upadku państwa, który miał stanowić karę za grzechy Babilonu. [przypis edytor-ski]

nie, stać się moim charakterem. Mikstura nie zawsze powodowała te same następstwa. Raz, na samym początku moich eksperymentów, zawiodła zupełnie. Byłem też niekiedy zmuszony ilość chemikaliów podwajać, a raz nawet potroić. Te, co prawda, rzadko się zdarzające różnice w zastosowaniu chemikaliów i różnice w osiągniętych rezultatach były dotychczas jedynym cieniem zamącającym mój spokój. Teraz jednak, po tym ostatnim wypadku, uświadomiłem sobie, że dokonała się z wolna zasadnicza przemiana: o ile z początku istniała trudność pozbycia się cielesnej powłoki Jekylla, to obecnie jest właśnie przeciwnie. Wszystkie oznaki dowodziły, że powoli ztracałem związek ze swym pierwotnym, lepszym „ja” i że z wolna przyjąć muszę ciało sobowtóra, a tym samym owo gorsze „ja”.

Czułem, że mam teraz wybór między oboma postaciami. Obie moje natury miały wspólną pamięć, ale wszystkie inne cechy i właściwości miały zupełnie odrębne. Jekyll był bardziej złożoną naturą: brał on najgorliwszy udział w awan-

turach i przyjemnościach Hyde'a, czasem przeżywając z powodu niego chwile okropnego lęku, czasem z prawdziwą pasją interesując się jego wykroczeniami; natomiast Hyde zupełnie nie troszczył się o Jekylla; poczciwy doktor istniał dla niego tylko jako właściciel wygodnego schroniska, w którym mógł się ukryć przed prześladowaniami. Jekyll był pełen współczucia, jakby ojciec, Hyde okazywał zupełną obojętność.

O ile decydowałem się na Jekylla, musiałem ostatecznie zerwać z owymi zachciankami, którym długo się potajemnie oddawałem, a którym wreszcie zbrodniczo hołdowałem. O ile decydowałem się na Hyde'a, musiałem zerwać z tysiącznymi interesami i dążnościami, musiałem definitywnie narazić się na osamotnienie i pogardę. Jedna bardzo ważna okoliczność zaważyła poważnie na szali: Jekyll odczułby boleśnie stałe powstrzymywanie się od nałogu, natomiast nie doszłoby nawet do świadomości Hyde'a, jak wiele stracił. Rozważania te i wątpliwości, które miałem, były doprawdy tak sta-

re jak ludzkość. Bo te same popędy i obawy dręczą każdego grzesznika, kiedy go nawiedza pokusa. Również i u mnie decyzja zapadła taka sama jak u większości ludzi: wybrałem lepszą część, ale nie miałem dość siły, by przy niej wytrwać.

Tak, dałem pierwszeństwo starszemu doktorowi, otoczonemu przyjaciółmi, zdążającemu do szlachetnych celów, rozstałem się ze swobodą, z rozkoszą, lubieżnością, której zaznawałem w masce Edwarda Hyde. Może wyboru tego dokonałem z podświadomą nieszczerością, gdyż zatrzymałem mieszkanie w Soho, nie zniszczyłem ubrania Hyde'a, które zawsze jeszcze leżało w moim gabinecie.

Jednak przez dwa miesiące pozostałem wierny memu postanowieniu; przez dwa miesiące wiodłem tak solidne życie, jak nigdy dotychczas, i rozkoszowałem się jako jedyną nagrodą zadowoleniem i spokojem sumienia. Ale wreszcie z biegiem czasu zatracalo się we mnie wrażenie owego ostrzeżenia; spokój sumienia przestał dawać mi zadowolenie; począłem się

nudzić, tęsknić za odmianą; Hyde we mnie domagał się ujawnienia, wolności, swobody. I wreszcie, w chwili słabości, przyrzadziłem znowu miksturę i zażyłem ją.

Mój zły demon zbyt długo był uwięziony — teraz wydostawszy się na zewnątrz, zapragnął użycia. Już w chwili gdy piłem miksturę, uczułem nieposkromioną, dziką żądzę zła. Ona to zapewne wywołała w mej duszy owo gniewne zniecierpliwienie, gdy posłyszałem błagalne słowa mojej nieszczęśliwej ofiary. To jedno zapewnić mogę, że moralnie zdrowy człowiek nie mógłby być tej zbrodni popełnić z tak błahej przyczyny. Podczas tego mordu tyle miałem rozsądku i uświadomienia co dziecko, które niewoczy swoją zabawkę.

Duch piekła szalał we mnie. Z lubieżną radością tłukłem w obojętne ciało mej ofiary, lubieżność moja wzmagala się z każdym zadawanym ciosem. Dopiero gdy mnie poczęło ogarniać zmęczenie, nagle, w chwili szaleńczego rozpasania instynktu zbrodniczego, niejako w kulminacyjnym momencie tego roz-

pasania — ogarnęło mnie przerażenie. Mgły sprzed mych oczu ustąpiły, pojąłem, że życie moje przepadło; uciekłem z miejsca mego zbrodniczego czynu; odczuwałem równocześnie rozkosz i strach, złe chuci moje były bowiem zaspokojone, a żądza życia wielce pobudzona.

Szybko skierowałem kroki w stronę mego mieszkania w Soho i zniszczyłem tam wszelkie papiery i dokumenty, które mogłyby dać świadectwo mej winie. Potem biegłem ulicami, wciąż jeszcze w jakimś upojeniu, rozdwojeniu wyobrażeń. Wielce ciążyła na mej duszy dopiero co popełniona zbrodnia morderstwa, a równocześnie obmyślałem z wielką lekkomyślnością nowe bezceństwa, które bym mógł w przyszłości wykonać. A równocześnie z drżeniem myślałem o karze za popełnioną zbrodnię, nadśluchiwałem, czy nie zbliżają się kroki mścicieli...

Hyde miał na ustach uśmiech, śpiewał frywolną piosenkę, gdy mieszał znowu miksturę, po chwili zaś, po zażyciu eliksiru, padł Hen-

ryk Jekyll na kolana, miał w oczach łzy skruchy i wyciągał ręce do Boga.

Samoułuda prysła doszczętnie; widziałem przed sobą całe swe życie, śledziłem je od dni mej młodości, kiedy to jeszcze szedłem, prowadzony za rękę przez matkę, rozpatrywałem tok mej kariery zawodowej — i wciąż myśl moja skierowywała się do okropnych wydarzeń tej nocy. Łzami, modłami chciałem wypłoszyć obrazy tego ohydneho czynu, stłumić szmery i szepoty, krzyki i jęki mej ofiary — wciąż okropne widmo zbrodni i grzechu skądeś wypełzało i patrzyło na mnie swym ścinającym krew w żyłach wzrokiem.

A potem znikły wyrzuty sumienia i pojawiło się uczucie radości. Oto rozstrzygnęła się kwestia, jak mam żyć! Odtąd Hyde stał się niemożliwy; bez względu na to, czy chcę, czy też nie chcę — muszę żyć jako Henryk Jekyll, jestem związany z lepszą stroną mego „ja”.

O, z jaką rozkoszą myślałem o tym! Z jak radosną pokorą rozpoznawałem od nowa granice normalnego żywota, z jak szczerą rezy-

gnacją zamknąłem drzwi, którymi w postaci Edwarda Hyde wykradałem się nocami!

Następnego dnia wyczytałem w gazetach, że morderstwo jest przedmiotem śledztwa, że wina Edwarda Hyde jest dowiedziona, że ofiarą jest bardzo poważana osobistość. Nie była to zatem tylko zbrodnia, lecz również i tragiczne błazeństwo.

Jekyll był teraz moją jedyną ochroną; wystarczyło, by Hyde na chwilę pojawił się, a wszyscy wokół schwytaliby go i oddali w ręce sprawiedliwości.

Postanowiłem zatem w przyszłości szeregiem dobrych uczynków odpokutować popełnione zbrodnie i mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że to moje postanowienie kilkakrotnie bardzo skutecznie wypełniłem.

Lecz jak klątwa tkwiła wciąż jeszcze we mnie dwoistość mej natury; w miarę upływu czasu rozluźniły się znowu węzły pętające pierwiastek zła w mej duszy; zbrodnicze instynkty znowu domagały się wyzwolin i ujawnienia. Ale na myśl mi nie przychodziło teraz, by przekształ-

cić się w Edwarda Hyde; na samą myśl o tym ogarniał mnie szaleńczy strach. Nie, we własnej mej postaci nachodziła mnie znowu pokusa, by paktować ze swym sumieniem, i jako zwykły grzesznik uległem wreszcie znowu dawnym nałogom.

Wszystko ma swój koniec; wreszcie wyczerpać się musi woda nawet w najgłębszej studni. To ponowne poigranie z złymi mymi skłonnościami zniweczyło doszczętnie równowagę mej duszy. Znamienne jest, że nie doznawałem wtedy żadnego lęku; nawrót do dawnych nałogów wydał mi się rzeczą zupełnie oczywistą.

Był to piękny, jasny dzień styczniowy; śniegi topniały, niebo było bez chmur. Siedziałem na ławce w parku. Mój Boże, gdy tak zastanawiałem się głębiej nad sobą, byłem przecież taki sam jak moi bliźni, ba, jeśli porównam się z innymi ludźmi, to może lepszy; jestem człowiekiem czynu, silnej woli; a oni grzęzną w beznadziejnej bezwoli, obojętności... Ale w chwili gdy oddawałem się takim butnym i zarozumiałym myślom — uczułem straszne mdłości,

niezwykłe osłabienie. Gdy poczułem się lepiej, zauważyłem zmianę w charakterze mych zapamiętań, pewne zubożenie wobec wszelkich niebezpieczeństw, wyzwolenie z okowów obowiązku. Spojrzałem na swą postać: ubranie zwiisało z wychudłego ciała, ręka spoczywająca na kolanie była koścista i owłosiona. Byłem znów Edwardem Hyde...

Przed chwilą byłem powszechnie poważaną osobistością, człowiekiem zamożnym, lubianym, dobroczynnym — i oto jestem istotą bezdomną, ściganą, pogardzaną, oskarżoną o morderstwo, przeznaczoną na szubienicę...

Pod wpływem tej myśli nie straciłem jednak ani na chwilę pełni władz umysłowych. Niejednokrotnie już zauważyłem, że w mej drugiej postaci panuje jeszcze silniej mózg, że zmysły moje stają się bardziej elastyczne. Stało się więc, że w położeniu, w którym Henryk Jekyll byłby zapewne bezradny, Edward Hyde był panem sytuacji.

Mikstura moja znajdowała się w jednej z szuflad szafy w moim gabinecie. Ale jak się do niej

dostać? Oto było zagadnienie chwili obecnej. Drzwi wiodące z pustego domu w bocznej uliczce do sali wykładowej i mego gabinetu poprzednio — jak już wspomniałem — zamknąłem i klucz zniszczyłem, rozbijając go na dwie części. Gdybym teraz popróbował dostać się do mego domu przez główne wejście, moja własna służba wydałaby mnie w ręce sprawiedliwości. Doszedłem więc do przekonania, że muszę użyć innego sposobu; pomyślałem o Lanyonie. Ale jak się do niego dostać? Gdybym nawet uniknął aresztowania na ulicy, to jak do niego dotrzeć? I w jaki sposób mógłbym w postaci obszarpańca, obskurnego Edwarda Hyde skłonić znanego i znakomitego lekarza, by włamał się do gabinetu swego kolegi — doktora Jekylla? Wtedy wpadło mi na myśl, że mogę przecież mimo wcielenia w swą drugą postać pisać dawnym swym pismem — pismem Jekylla. Skoro na ten pomysł wpadłem, uświadomiłem sobie już zupełnie dokładnie, co mam robić. Doróżką pojechałem do hotelu przy ulicy Portland; na mój widok ze wszech miar komiczny

nie mógł się dorożkarz powstrzymać od śmiechu. Zgrzytnąłem zębami, wściekłość ogarnęła mnie, dziko nań spojrzałem; uśmiech zniknął z jego twarzy na jego szczęście, a raczej bardziej jeszcze na moje szczęście, gdyż następnej chwili byłbym się zapewne na niego rzucił.

Gdy wchodziłem do hotelu, miałem tak ponurą twarz, że służba hotelowa drżała na mój widok. W mej obecności nie odważyli się ci ludzie rzec ani słowa, zaprowadzili mnie do pokoju i przynieśli przybory do pisania, których natychmiast zażądałem.

Hyde w niebezpieczeństwie życia! Była to nowa dla mnie transformacja tej istoty. A była ona szatańsko chytra; wysiłkiem woli opanowała swą żądzę, swą namiętność — i napisała dwa listy: jeden do Lanyona, drugi do Pawła. By mieć pewność, że zostaną wysłane, polecił je Hyde nadać na poczcie za recepisem zwrotnym²³.

Potem siedział przez cały dzień w pokoju hotelowym i gryzł paznokcie. Kazał sobie przy-

²³*recepis zwrotny* — zwrotne poświadczenie odbioru. [przypis edytorski]

nieść szereg potraw i stwierdził, że kelner usługuje mu z wielką odrazą. Potem, gdy noc zapadła, wyszedł, wziął dorożkę i kazał się wozić ulicami miasta.

Powiadam „on”, nie mogę bowiem mówić „ja”. Szatan ten nie miał w sobie bowiem nic więcej ludzkiego, był w nim tylko lęk i nienawiść. Ze strachu, by woźnica nie zaczerpnął z obwożenia tak niesamowitego pasażera jakichś podejrzeń, opuścił dorożkę i począł waleśać się po ulicach w swym zwisającym z ciała ubraniu, zwracającym przecież swą dziwacznością powszechną uwagę. Szedł prędko, pędzony strachem, przekradał się przez odludne uliczki, liczył minuty dzielące go od północnej godziny. Jakaś kobieta zaczepiła go, chciała mu sprzedać pudełko zapalek. Uderzył ją w twarz i uciekł...

Gdy się wreszcie znalazłem w mieszkaniu Lanyona, przerażenie mego starego przyjaciela wywarło na mnie pewne wrażenie.

Zaszła we mnie teraz wielka zmiana. Nie dręczył mnie więcej strach przed stryczkiem,

lecz przerażenie, że jestem znowu Edwardem Hyde'em.

Jak we śnie dotarłem do domu i położyłem się do łóżka. Po przejściach tego dnia byłem tak wyczerpany, że natychmiast zasnąłem: spałem długo i mocno; nawet trapiące sny nie zdołałyby zmącić tej gwałtownej potrzeby wypoczynku.

Następnego ranka obudziłem się pokrzepiony i odświeżony fizycznie. Wprawdzie ze zgrozą myślałem o bydłeciu, które we mnie tkwi — ale przynajmniej byłem w domu, we własnym mieszkaniu, mając pod ręką moje tynktury i sole. Dusza moja była przepojona radością, iż udało mi się wydostać z okropnej sytuacji dnia wczorajszego.

Spokojnie przechadzałem się po śniadaniu na podwórzu i rozkoszowałem się rześkim powietrzem poranka, gdy mnie ogarnęło znowu owo niesamowite wrażenie, zwiastujące moją transformację. Miałem tylko tyle czasu, by się schronić i ubezpieczyć w mym pokoju; o władnęły mną znowu namiętności Edwarda Hyde.

Tym razem zażyć musiałem podwójnej dawki, by wrócić do pierwszego stanu; ach, w sześć godzin potem, gdy przygnębiony siedziałem przy kominku i wpatrywałem się w ogień, wróciły bóle transformacji i musiałem się znowu posłużyć miksturą.

Słowem, od tego dnia używać mogłem powłoki zewnętrznej Jekylla tylko przy największym wysiłku i tylko po bezpośrednim użyciu mego eliksiru. O każdej godzinie, dniem i nocą, ogarniał mnie ów niewytłumaczalny wstrząs, ostrzegający przed dokonującą się przemianą; przede wszystkim zaś, gdy choćby na chwilę w fotelu zasypiałem, budziłem się zawsze jako Hyde. Pod ciężarem tej klątwy, wiecznie nade mną wiszącej, a dalej wskutek bezsenności, na którą byłem obecnie skazany — stawałem się fizycznie i duchowo coraz słabszy, marniałem, trawiony gorączką, niepokojem, przerażeniem; władało mną tylko jedno uczucie: groza przed mym drugim „ja”. Ale gdy spałem lub gdy działanie eliksiru stawało się słabsze, wyłaniał się ze mnie świat najokropniejszych wi-

dzeń, majaków, zmor, dusza moja wrzała niczym nieuzasadnioną nienawiścią, ciało moje nie było dość silne, by w sobie mieścić te rozpetane energie życiowe. Siły Edwarda Hyde stopiły się w jedno ze słabowitością Henryka Jekylla. Wreszcie nienawiść, która dotychczas obu dzieliła, stała się po obu stronach jednaka. U Jekylla było to następstwem popędu samozachowawczego. Uświadomił sobie teraz w całej pełni ohydę owego stworzenia, z którym dzielił obecnie kilka zjawisk świadomości. Hyde był dla niego mimo całej swej energii życiowej nie tylko czymś szatańskim, lecz również czymś nieorganicznym. Nienawiść Hyde'a w stosunku do Jekylla była innego rodzaju. Lęk jego przed stryczkiem skłaniał go stale do unicestwiania swej osobowości, do znikania w postaci Jekylla, której był tylko częścią składową, a nie własną indywidualnością. Ale Hyde nienawidził tego przymusu ukrywania się w postaci Jekylla, oburzał się na obrzydzenie, z jakim Jekyll myślał o swym drugim „ja”. Stąd pochodziły owe małpie figle, które mi często płatał, gdy

na przykład wpisywał do moich zapisków i notatek bluźnierstwa, gdy palił listy mojego ojca lub brudził kałem jego portret. Tylko lęk przed śmiercią powstrzymywał go od samobójstwa, które chciał popełnić, byle tylko również i mnie wciągnąć w swe zatracenie, upadek, unicestwienie. Idę jeszcze dalej: gdy się zastanawiam, jak mocno, ordynarnie, gwałtownie, kurczowo trzymał się mnie, gdy wciąż widzę, jak się mnie lęka, ponieważ ode mnie to zależy zniweczyć go przez samobójstwo — uczuwam jeszcze litość dla niego w mym sercu.

Wobec braku czasu nie mam możliwości bardziej szczegółowo opisać wszystkiego, co przeżyłem. Wystarczy stwierdzić, że nikt nigdy nie przeżywał takiej męki; przyzwyczajenie się do tych udręczeń nie przysporzyło mi żadnej ulgi, nie, spowodowało tylko, że duchowo niejako skamieniałem, że moje przerażenie stępiło się niejako.

Kara moja mogłaby zatem trwać latami, gdyby nie zaszła wreszcie pewna okoliczność, która mnie ostatecznie pozbawiła mej właściwej

postaci i natury. Mój zapas owej soli, którego od chwili pierwszego eksperymentu wcale nie uzupełniałem, począł się wyczerpywać. Kazałem sprowadzić pewną ilość i sporządziłem miksturę. Odczułem bóle dokonującej się przemiany, zmieniłem kolor twarzy — ale też i to wszystko... Nie wracałem do postaci Jekylla! Paweł opowie ci, jak dokładnie kazałem w całym Londynie, we wszystkich składach, czynić poszukiwania; na próżno. Doszedłem obecnie do przekonania, że mój pierwszy zapas nie był czysty i że właśnie owo zanieczyszczenie jakimś nieznanym mi składnikiem powodowało skuteczność działania owej soli.

Od tej chwili minął tydzień, a teraz kończę relację moją pod wpływem ostatniej drobiny pochodzącej z pierwszego mego zapasu.

Po raz ostatni może Henryk Jekyll na krótki czas myśleć własnymi myślami, widzieć swą twarz w lustrze, swą przesmutną twarz... Nie wolno mi zwlekać z zakończeniem tego sprawozdania, gdyż jeśli uchroniło się ono dotychczas przed zniszczeniem, to dopomogła do te-

go moja ostrożność i zapobiegliwość. O ile by mnie bóle przemiany ogarnęły już podczas tego, gdy to piszę, wówczas Hyde pismo to zerwie i zniszczy. Jeśli natomiast zdołam skończyć tę relację i odłożę ją na bok, wówczas Hyde, w swym egoizmie interesując się jeno przyszłością, a nie mając żadnego zrozumienia dla tego, co się choćby przed chwilą stało — nie zatroszczy się wcale o to pismo; będzie ono zatem uratowane przed wybuchami jego zwierzęcej wściekłości.

Za pół godziny, gdy znowu, i to na zawsze, przybiorę tę ohydłą jego cielesną powłokę — siedzieć będę przerażony, oszalały ze strachu, wyęzający swe zmysły, napinający całą energię samoobrony lub też krążyć będę po tym pokoju, ostatnim mym schronisku na świecie, nad słuchując każdego kroku z zewnątrz, każdego głosu dolatującego ze świata... Czy Hyde umrze na szafocie? Czy zdobędzie się on na odwagę, by się w ostatniej chwili wyzwolić? Bóg to raczy wiedzieć; mnie to nie obchodzi.

Teraz, w tej chwili, jest prawdziwa godzina śmierci Henryka Jekylla; co się potem stanie, obchodzi kogo innego, nie mnie. A więc odkładając pióro i zabierając się do zapieczętowania tego mego wyznania, kładę kres życiu nieszczęśliwego Henryka Jekylla.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/stevenson-dr-jekyll-i-mr-hyde/>

Tekst opracowany na podstawie: Robert Louis Stevenson, *dr Jekyll i Mr. Hyde*, tłum. Bertold Merwin,

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica, Zuzanna Pyzikiewicz.

Okładka na podstawie: Mr. Mansfield, Henry Van der Weyde, domena publiczna

ISBN 978-83-288-6308-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

ROBERT LOUIS STEVENSON *Doktor Jekyll i pan Hyde*
Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.